Nr. 14. Warszawa, dnia 25 Marca (7 Kwietnia) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Cosas d'Italia.

Od rozruchów medyolańskich, od okrzyku o chleb w całych Włoszech w r. 1898, nie może się klasyczna ziemia najazdów, rewolucyj, spisków, sztyletów i trucizn, przewrotów wszelkiego rodzaju — ale przytem wszystkiem i kultury prawdziwie humanistycznej i humanitarnej — uspokoić. Walki stronnictw są tylko do pewnego stopnia skutkiem, a nie przyczyną podziemnych gromów, które wstrząsają szlachetną Italią. Pod burzącą się, fałdującą i pękającą powierzchnią leży podkład niemocy, a w bardzo znacznej mierze i nędzy ekonomicznej, rozhukanemu zaś żywiołowi społecznemu przychodzi z pomocą wiernego sprzymierzeńca namiętny, bezwzględny, nieznający pęt i granic — żywioł polityczny. Nie jest on prostą tylko nienawiścią do istniejącego porządku rzeczy — jest szarpiącym bólem, piekącym zawodem, rozwiewającą się w mgły, wyssaną przez nicość nadzieją. Od pierwszej chwili wyzwolenia napoleońskiego, od zamachów Garibaldiego na Neapol, Sycylię, Emilię, na Rzym wreszcie, w pamiętnych latach 1859—1862, wielki odłam tej mniejszości czynnej, która gra rolę całego historycznego narodu — z gniewem lub tęsknotą rwie się do słońca, mającego wejść na widnokrąg, a jak w skandynawskich Eddach duszonego przez potwory niebieskie. Słońce nie wschodzi i nie wzejdzie.

To szamotanie się głów i serc, pełne boleści i uroczystego jej majestatu, przeciwnicy, obsiadający wkoło i rząd i dwór, i wszystko, co jest władzą i jej użyciem — nazywają dzikiem, anarchistycznem rozpasaniem, które jakoby wyłamując się z pod prawa, samo też z praw się odziera i zdaje na łaskę rządzącej większości. Gdyby ta większość miała więcej w sobie nietylko ilościowej, ale i jakościowej wartości, gdyby się mniej upajała swem panowaniem, nie tak była pełna samej siebie, jak jest — ów dziki anarchizm inaczej by się przedstawiła i innym by też był w swej istocie. Widzianoby w nim, nie reakcyę samowoli, bunt z dziwactw i przywidzeń garstki umysłów powstały, ale spokojny proces tych samych idei, które towarzyszyły najszlachetniejszemu okresowi życia Włoch jako jego idee macierzyste, przewodnie, twórcze. W epoce wybijania się i duchem i zbrojnemi powstaniami z pod austryactwa i absolutyzmu — żaden z tych mężów, wśród których przebywała dusza narodu, nie marzył o Włoszech dzisiejszych parlamentarnych i prefekturalnych—tworzących niby jedno państwo. Marzono o rzeczypospolitej i o federacyi. To właśnie niespełnione marzenie przeszłości jest dziś burzą teraźniejszości. Radykalizm dzisiejszy we Włoszech rośnie głęboko w gruncie dziejowym, i tylko płytkość widzi w nim coś naleciałego po wierzchu, coś nawianego przez wichry umysłowe źle wyćwiczonych jednostek lub bezdrożami wędrującego ducha czasu.

Rzeczywistość, zbyt często występująca w postaci Mefistofelesa — nie powtórzy zapewne już dziś okrzyku deputowanego Santana: „konstytuanta!“ — dla nowego urządzenia Włoch, ale ten okrzyk nie jest ani objawem anarchizmu, ani czynem szaleństwa. Jest w nim poezya duszy, jak w każdem wyznaniu wiary w jakiś ideał. Jeżeli był w czem anarchizm i szał i dzikość, to w tym wrzasku, jakim większość powitała hasło, może bezpłodne, może już na długie wieki przedwczesne lub spóźnione, ale samo w sobie czyste. Takie przyjęcie potęguje zawsze objaw, który u źródła samego zniweczyć pragnęło. Do przywiązania idealnego przyskakuje zwierzęca namiętność nienawiści — porywa je i ciągnie na mroczne swe tory. Mniejszość, obrażona w tem, co jedyne jej mienie, dobro, potęgę stanowi — nie zna już praw, któreby uszanować miała obowiązek. Początek wszelkich burz sejmowych drugiej połowy XIX w. — tkwi w tak odczutej psychice dusz ludzkich. Gdyby się łagodniej obchodzono, gdyby posiadanie władzy dawało już dostateczną sytość i idącą wraz z nią równowagę i spokój — wiele tych „obstrukcyj“ parlamentarnych, na które patrzymy, dałoby się uniknąć. Ale nie — człowiek będzie zawsze chciał mieć więcej, niż ma, choćby miał najwięcej, a nie wystarczają mu w pospolitym żargonie logiki *realne* dobra, chce nawet milczenia przeciwników. Nic tak nie stwierdza aksyomatu: Namiętność buduje dzieje, jak to, na co dziś patrzeć nam nakazują Włochy.

Sprawy i zagadnienia parlamentaryzmu włoskiego mają w powyższem oświetleniu drugorzędne tylko znaczenie. Parlament, tj. jego Izba deputowanych, jak każda istota żywa lub z żywych zcalona, bronić się musi od tego, co jej żyć, tj. w życiu

działać nie pozwala. Nieraz tu już wypowiadano spostrzeżenie, że regulaminy, porządki obrad sejmów europejskich — są słabemi narzędziami porządku, że zbyt mocno opierają się na domniemaniu, iż zgromadzeni radcy narodowi będą duchami prawymi, czystymi umysłami, aparatami logicznymi, a nie istotami nieczystemi, brukanemi przez egoizm, szarpanemi przez namiętność — ludźmi z krwią i żółcią zawsze, z logiką rzadko, z duchem prawości wyjątkowo. A serc, a serc — jakże wśród nich mało! Zorganizowana z takich istot dotykalnych istota umysłowa, moralna, Izba, parlament czy sejm — potrzebuje silnego wewnętrznego porządku, aby się nie rozpaść, nie rozsypać, ducha, który ma z czystej tylko myśli, nie wyzionąć. I obecnie też w parlamencie włoskim wniosek obostrzenia regulaminu, wniesiony przez Cambray-Dignego, jest zupełnie prawowitym: szkoda tylko, że przychodzi, nie jako wewnętrzna, rozumna reforma, ale jako środek prześladowczy, wymierzony na republikanów i wszystkich wogóle radykalistów, a jego etyczne zabarwienie podleje jeszcze przez dodatkowy wniosek Sonnina, aby prawo, należące przecież do rodzaju kagańcowych uchwalić przez aklamacyę. Tak czy owak, prawo uchwalone będzie: tak czy owak, prawica Izby, trzęsąca państwem włoskiem, może być pewna, że jej nikt nie wydrze atrybutu ohydnej.

Tydzień polityczny. W sejmie włoskim ostatni tydzień marca upłynął na walkach parlamentarnych, właściwie mocno nieparlamentarnych. Wniesiono obostrzenie regulaminu. We wtorek miano go przyjąć okrzykiem, ale lewica krzykiem nie dopuściła okrzyku. Prezydyum podało się przedtem do dymisyi dla przyzwoitości zaleconej przez króla; wybrano je na nowo. Stało się zadość przyzwoitości — i prawicy.

Odroczony sejm niemiecki zbierze się dopiero d. 24 kwietnia.

Królowa angielska d. 4 b. m. odbyła wjazd do Dublina. Dziennikarstwo narodowe wezwało ludność irlandzką do spokoju i powściągliwości.

W Paryżu wystawa, wypiera politykę na strych: goście i franki— tyle milionów franków, i taka sława i władza moralna nad Europą. Znalazły się jednak jeszcze komórki w mózgach do odczucia patryotycznej radości z rozbicia Tuaregów i Maurów marokańskich daleko w głębi Sahary w Insali i z opanowania innego jeszcze ważnego punktu, przez jakiegoś generała. Wszystko tak wygląda, jakby chciano zaokrąglić się Marokiem.

We Lwowie p. Romanowicz zażądał pomnożenia sejmu 30 posłami z nowej, bezpośredniej kuryi i 9 z już istniejących.

W Transwalu Boerowie z Brandfortu zaskoczyli pomiędzy tą miejscowością a Bloemfontein Anglików i ciężko ich poturbowali: siedem dział przepadło, a 300 żołnierzy „zaginęło bez wieści." Znaleźli ich Boerzy.

ŻYCIE SPOŁECZNE

RUCH ETYCZNY

(Zarys rozwoju towarzystw kultury etycznej).

—◆—

Je ne propose rien,
je ne suppose rien,
j'expose.

Sto lat już mija od czasu, jak Herder po przeczytaniu autobiografii Franklina takiem rozgorzał uczuciem dla planów szlachetnego Amerykanina, że dziełkiem tem rozpoczął swe „Listy dla obrony i rozpowszechnienia idei człowieczeństwa." Opowiada tutaj o zamiarze Franklina założenia w Filadelfii „Towarzystwa ludzkości" i daje kwestyonaryusz, na który odpowiedzieć musi każdy z członków. „Powiedz szczerze — tak brzmieć miało wyznanie wiary — że ród ludzki miłujesz prawdziwie, bez względu na różnice w zewnętrznym układzie rysów twarzy, rodzaj zajęcia, albo wyznanie. Czy sądzisz, że człowiek powinien cierpieć dla czyichkolwiek przekonań metafizycznych albo obrządków kościelnych, na ciele, imieniu, majątku? Czy kochasz prawdę dla niej samej, czy chcesz jej szukać bez stronniczych założeń i czy chciałbyś, gdy ją znajdziesz, z innymi podzielić swą zdobycz?.." Tak pytał filozof, ale echa nawet nie usłyszał: nie miała czasu historya na sprawy tak dalekie, tak łzawe, tak platoniczne. Cóż bowiem i komu było mówić o ludzkości, o ideale wszechmiłości na obłoku wiszącym, kiedy los dziejowy z wulkaniczną siłą stwarzał zadania i cele bliższe; już tem samem serdeczniejsze i bardziej upragnione, niżli zamorskie mrzonki ideologów.

Minęło jednak stulecie, przyszło „spełnienie czasu" — i na nowo, tylko już z większą siłą budzić się zaczęły dawne pragnienia. Owdzie wcześniej, tam znowu później nieco, nie na głównym ołtarzu, jeno na skromniejszych, w głęi i wielkiej nawy rozrzuconych ołtarzykach zapalać poczęto ognie człowieczeństwa. W dusznej atmosferze *fin de siècle'u*, w mgłą zasnutym krajobrazie końca wieku — wielkich nadziei i wielkich rozczarowań—owe ogniki nietylko zakreślały i zabielają drogę, po której bieży myśl i uczucie pewnych ludzi, ale tworzy poniekąd linię drogowskazów.

Owa linia, to mleczna droga etyków. Czegóż chcą oni? Niżej podamy bliższe w tej mierze szczegóły. Są etycy amerykańscy a angielscy, francuscy a niemieccy — i nazwy te nie mają tylko geograficznego znaczenia! Dzielą je nietylko różnice języka i narodowości, temperamentu i historycznej przeszłości, ale i głębsze, specyficzne, przekonaniowe, ideologiczne różnice. I dlatego musimy cząsteczki onego ruchu rozpatrzyć oddzielnie. Ale gdyby należało rozpocząć ten drobny szkic od ogólnej charakterystyki przedmiotu, powiedzielibyśmy, że panowie etycy mniemają, iż są, iż być powinni *ogrodnikami* duszy ludzkiej. Los — myślą — czy przypadek, czy też własna wola, czy też wszystkie te czynniki pospołu, dały im w ręce noże ogrodnicze, szczepić tedy winni na duszach ludzkich płonki zdrowych myśli i uczuć uczciwych. Oczywiście że żaden gatunek duszy z pod tej działalności nie powinien być wyjęty, ale że na starym pniu szczepy przyjmują się rzadko i niepewnie, tedy główną uwagę zwrócić należy na wychowanie etyczne dzieci i młodzieży, na kulturę duszy kobiecej, jako bardziej wrażliwej itd.

Tyle, gdy chodzi o „jednozgłoskowe" określenie działalności etyków i towarzystw etycznych. Z kolei rzeczy opowiemy, jak w poszczególnych ogniskach geograficznych ruch ten rodził się i rozwinął.

I.

Ruch etyczny w Ameryce, najstarszy w rodzinie działalności etycznej, powstał w r.

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

—◆—

WIDOK 13 *).

Mroki wieczorne sypały się na ziemię coraz gęściej. Za nimi wylazła z pod widnokręgu i legła na niebie wielka, czarna chmura, która zaczęła oddychać silnym wiatrem i pluć rzadkim, ale kroplistym deszczem. Krysto wszedł w rusztowanie nowej kaplicy i zaczął posuwać się ku kopule grobu Zwiastuna za słabem światłem lampki, która paliła się przy końcu zrębu. Pod nią przy drzwiach dostrzegł starca, którego spytał:

Krysto.

Wolno wejść?

Starzec.

Nie wolno, ale można.

Krysto.

Drzwi zamknięte.

Starzec

To je wyważ, jeśli masz siłę.

Krysto pchnął mocno — drzwi ustąpiły. Wszedł do ponurej, wysokiej rotundy, oświetlonej tylko blaskiem pięciu gromnic, płonących wokoło nad zamkniętemi drzwiami. Prawie całe jej dno zaległ wielki, czarny kamień. Krysto był sam. Ukląkł, przyłożył usta do nagrobnej płyty, objął ją rozkrzyżowanemi rękami i tak pozostał długo nieruchomym. Z pod jego oczu zaczęły się wysączać i spływać po kamieniu rzęsiste łzy, a gdy podniósł twarz, była ona mokra, bolejąca i rozżalona.

Krysto.

Arjosie, duchu boży, zstąp na to miejsce grobu ciała twojego i powiedz mi, z czem cię posłało niebo i za co cię umęczyła ziemia. Rzuć z wszechwiedzy Boga w ciemną otchłań duszy mojej jeden promyczek światła, daj z jego wszechmocy mojemu niedołęstwu jedno drgnienie siły, bo strasznie cierpię z umysłem ślepym i wolą bezwładną. Duchu dobry, miłosierny i kochający, wyprowadź mnie z odmętu zagadek i z piekła cierpień. Myśli gryzą mi mózg, uczucia przepalają serce. Żyję tylko tą pewnością, że nic nie wiem i nie mogę. Ulituj się i spraw, niech wiem i mogę, bo pragnę. Bez szemrania zniosę moje męczeństwo, ale wskaż mi, za co mam umrzeć, co powinno być słońcem lub przynajmniej gwiazdą życia mojego... Arjosie, nie chcesz mi objawić się i przemówić?.. A przecie ty jeszcze nie uczyniłeś ludzi szczęśliwymi i potrzebujesz uczniów wiernych, którzyby dokończyli dzieła twojego... Może mną pogardzasz? Czemuż uczyłeś, że w sercach, w których mieszka miłość, gości mądrość? A moje serce jest domem miłości. Może tego nie uczyłeś? Kamień tylko, niemy kamień...

Spojrzał raz jeszcze w górę kopuły, jak gdyby z ostatnią resztką nadziei ujrzenia cudu, i wyszedł. Przy drzwiach zatrzymał go starzec.

Starzec.

Słyszałem twoje bluźnierstwo. Bóg ci je przebaczy, bo nie znasz prawdy, objawionej przez Arjosa. Naukę jego sfałszowali gasiciele światła na ziemi, kłamcy i obłudnicy. Ale ona od wieków kryje się w rodzie potomków Biona, ucznia Zwiastuna, którzy świętą Księgę przechowują w miejscu bezpiecznem. Jestem jednym z nich. Weź te kartki i odczytaj je nieszczęśliwym, z którymi tu przyszedłeś. A nie

*) Na grobie Arjosa w Tenerze zbudowana była świątynia w kształcie siedmioramiennej gwiazdy, złożonej z odrębnych kaplic, w których kapłani wykładali naukę Zwiastuna według rozmaitych pojmowań. Pielgrzymi wraz z Krystem i Orlą, wysłuchawszy kaznodziejów, przekonali się, że w sporach i subtelnościach teologicznych nauka ta zupełnie zginęła.

1876 z inicyatywy kółka ludzi dobrej woli, na których czele znajdował się prof. Feliks Adler. Ostatni pozostał duszą towarzystw etycznych w Ameryce aż po dzień dzisiejszy. Chciał on rozkwitowi, inaczej rozkiełznaniu kultury materyalnej, na którego tle rozwinęło się zepsucie najohydniejsze i szaleją żądze używania zmysłowego, przeciwstawić nowy ideał życia, jako syntezę pierwiastków innej, czystej natury. Z takiego założenia wychodząc, musiał oczywiście Adler dążyć do tego, aby stworzyć wokoło siebie nie tyle obszerne, ile silne, jednolite ognisko przekonaniowe, z któregoby dopiero płynęły prądy ożywcze, zapładniające społeczeństwo amerykańskie czynnikami nowego poglądu na świat. Na podstawach takich spoczywa organizacya ruchu etycznego w Ameryce — przedewszystkiem w New-Yorku, gdzie żyje i działa Adler. Na czele ruchu stoją jednostki, które oddają się zupełnie krzewieniu ideałów etycznych, służą specyalnie propagandzie etycznej. Posiadanie takich specyalistów umożliwiło też stworzenie całego łańcucha organizacyj. Przedewszystkiem tedy istnieje w New-Yorku coś w rodzaju kościoła etycznego. Co niedzielę Adler wygłasza tam „kazanie" na temat etyczny. Kazania te gromadzą masy całe publiczności, śród której przeważają rzesze robotnicze. Jeżeli mówimy o kościele etycznym, to istotnie coś podobnego istnieje — Adler bowiem ma prawo błogosławienia ślubów małżeńskich, oraz prawo grzebania zmarłych — widzimy tedy, że ruch etyczny w Ameryce potrafił zdobyć dla siebie dwie, niezmiernie ważne placówki wpływu — i człowieka raz przyjętego pod swe opiekuńcze skrzydła nie oddaje więcej w ręce innych autorytetów duchowych. Po za tem jednak „etycy" amerykańscy powołali do życia cały szereg instytucyj specyalnych, które starają się nietylko wpływać na człowieka, ale go *wychowywać*. Są tam tedy: 1) *szkoła niedzielna* dla młodzieży od lat 7—16, gdzie za pomocą nauki poglądowej — z wzorów Starego Testamentu i Homera czerpanej — zaszczepia się w duszach młodocianych poczucie i poszanowanie dla szlachetności i dobroci. Dzieci starsze, jak mówi program, „należy przy pomocy dyskusyi na tematy z życia codziennego, prywatnego i publicznego, tj. społecznego i politycznego, w możliwie popularny sposób prowadzić do wyjaśniania im tych zagadnień ze stanowiska nakazów moralnych: z tego samego punktu widzenia należy im objaśnić dzieje rozwoju cywilizacyjnego ludzkości, wogóle zaś dążyć trzeba do wyrobienia w nich pewnego jednolitego, moralnością tchnącego poglądu na świat.

2) *Szkoła etyczna* dzieli się na kilka oddziałów: *a*) dziewczęta w wieku lat 15—18 raz na tydzień dyskutują pod wodzą specyalisty, dr. Eliotta, na tematy bliżej je obchodzące — tak np. w roku zeszłym rozpatrywano pracę kobiet i zasługi ich dla cywilizacyi; *b*) młodzi ludzie, bez różnicy płci, powyżej lat 18, zbierają się w podobnym celu co dwa tygodnie, w roku zeszłym pod przewodnictwem prof. Adlera czytano i studyowano ustępy wybrane z Nowego Testamentu; *c*) wreszcie, prof. Adler prowadzi seminaryum, w którem raz na tydzień bardziej przygotowani czytają wspólnie moralistów i filozofów; tak np. czytano Kanta; *d*) istnieje również szkoła etyczna dla chłopców w wieku lat 15—18, która zadanie swe widzi w kształceniu w swych uczniach poczucia obowiązków obywatelskich.

Tak działa towarzystwo etyczne w granicach wieku młodzieńczego. Nie koniec jednak na tem: „Zjednoczone towarzystwa pomocy," założone w r. 1878, mają na celu wychowanie dzieci klasy robotniczej, organizowanie pomocy i opieki nad chorymi i powoływanie do życia instytucyj miłości bliźniego, bez względu na rasę i wyznanie. Instytucye te pochłaniają rocznie 50,000 rubli.

Z ruchem etycznym wiąże się instytucya feministyczna, „Konferencya kobieca," założona w r. 1893, która liczy 188 członków i zcśrodkowuje w sobie wszystkie dążenia etyczne towarzystwa, uwzględniające świat potrzeb kobiecych; dzieli się on na kilka oddziałów: *a*) towarzystwo badań nad naturą dziecka, gdzie członkowie zaznajamiają się gruntownie z organizacyą dziecka pod względem fizycznym, duchowym i moralnym, a to za pomocą wykładów pedagogicznych, filozoficznych itd.; *b*) Towarzystwo pomocy dla kobiet (założone w r. 1881), opiekuje się dziećmi biednemi, uczęszczającemi do szkół etycznych, choremi itp.; *c*) związek opiekujący się dziećmi ułomnemi — odszukuje takie dzieci w mieście i stara się im zapewnić wychowanie i wykształcenie, któreby pomimo kalectwa mogło zapewnić byt im możliwy i zwróciło z drogi żebractwa, związek ten otworzył 8 klubów dziecięcych, w których dzieci takie zbierają się od czasu do czasu dla zabawy godziwej; *d*) sekcya robotnic ma na celu organizowanie kobiet-najemnic, należących do Towarzystwa, w celu budzenia w nich uczuć solidarności wzajemnej.

Podobne towarzystwa istnieją również w Chicago, Filadelfii, St. Louis i w kilku innych stanach. Z mniejszemi lub większemi zmianami znajdujemy tam wymienione wyżej organizacye. Towarzystwo etyczne w Filadelfii sprzyja wyraźnie sprawie robotniczej. Ogłosiło ono wyznanie wiary, w którem prócz zapewnień, że chce walczyć w obronie prawdy i sprawiedliwości — żąda, aby robotnikom zapewniono wolność obrony swej niezależności ekonomicznej, dąży do organizowania robotników w Filadelfii w związki, któreby wymogły na pracobiercach lepsze wynagrodzenie pracy — i w tym celu (podkreślamy ten szczegół) członkowie Towarzystwa obowiązują się kupować także tylko towary, których twórcy (robotnicy) wystarczająco i sprawiedliwie wynagrodzeni zostali przez fabrykantów *). Towarzystwo etyczne zajmuje się przeważnie zagadnieniami z dziedziny polityki ekonomicznej, agitowało pewien czas w obronie George'a itp.

W Ameryce wychodzi również kilka czasopism, poświęconych sprawom kultury etycznej. W Filadelfii Burns Weston wydaje kwartalnik *International Journal of Ethics*, w Chicago pod redakcyą Saltera wychodzi od r. 1895 *The Cause*.

Pionierzy amerykańscy, a mianowicie Stanton Coit, przenieśli ruch etyczny do Anglii i posiali jego ziarna na glebę niezmiernie podatną. W Anglii bowiem warunki są specyalnie dla rozwoju ruchu etycznego korzystne. Tu we wszystkich klasach ludności daje się dostrzegać znaczne pogłębienie w zapatrywaniach na tę kwestyę specyalną. W Anglii rzecz się ma inaczej. Niema tu solidarności uciskających, a więc i solidarność „uciśnionych" musi szukać w innej dziedzinie pierwiastków — źródeł zjednoczenia. Stąd właśnie pochodzi owo apelowanie sfer pracujących do czynników duchowych; stąd wypływa owo solidarne żądanie wszystkich odłamów tej sfery w Londynie — wprowadzenia obowiązkowej nauki moralności

*) Por. „Etyka spożywcy," nr. 11 *Prawdy* z r. b.

---

zdradź przed nikim, kto ci je dał, bo zgubisz ciało jego i duszę swoją.

Krysto chwycił kartki i wybiegł.

WIDOK 14.

Ziemia, wykąpana w ulewnym deszczu, zasnęła pod gwiaździstem niebem. Na wzgórzu pod miastem zbita w kupę rzesza pielgrzymów drzemała jak stado odpoczywających w przełocie żórawi. Na straży jej stała Orla, rzucając badawcze spojrzenie w ciemności nocy. Nareszcie dojrzała spieszącego Krysta.

Orla.

Byłam niespokojna o ciebie, bracie.

Krysto.

Daj mi pani świeczkę i krzesiwo.

Zapalił łojowy sznurek i wyjął z zanadrza zwój kartek.

Tu ma być spisana prawdziwa, przez potomków ucznia Arjosowego przechowywana w tajemnicy nauka Zwiastuna.

Oboje nachylili się ku rozwiniętym kartkom, przysunięci do siebie, ze skronią przy skroni. On czytał cicho, a ona słuchała. Kaganek ujął w mały krążek jasności ich twarze, na których odbijała się z początku ciekawość, potem surowa powaga, wreszcie głębokie rozczarowanie. Już cały sznur spłonął, już brzask zaczął tryskać na wschodzie, a oni wciąż czytali. Właśnie słońce oparło się na krawędzi ziemi, gdy Krysto wyszeptał ostatnie słowo i spojrzał na Orlę.

Orla.

Tak, to mógł powiedzieć Bóg, albo wielki człowiek.

Krysto.

Wstawajcie, bracia!

Gromada zerwała się z ziemi i szybko otrząsnęła ze snu.

Posłuchajcie, oto jest objawienie Arjosa: „Bóg rzekł do mnie: Darowałem człowiekowi ziemię, która była bezpłodną i rozkazałem mu, ażeby zbudził w niej płodność. I zaczęła mu rodzić. Wszystko też, co z łona swego wydała, nie jest tworem moim, ale tworem jego. Nic wywiodłem z niej niczego moją wszechmocą, lecz on wywiódł wszystko swoją pracą. Przeto on jest właścicielem każdej istoty żywej i każdej rzeczy martwej. A jeżeli w dziedzictwie męża, który poślubił ziemię i uczynił ją płodną, znajdzie się brat jego, który nie nauczył jej rodzić, to może on być gościem pana lub żebrakiem gospodarza swego, ale nie ma prawa do owoców jego... Niechaj to będzie największem przykazaniem mojem: nie będziesz kradł trudów i zasług bliźniego twojego, bo ja zawsze rozeznam, co cudze jest i powrócę każdemu, co mu się z pracy jego należy.

Krysto nie mógł czytać dalej, gdyż zagłuszyły go krzyki.

Głosy.

Tak, Bóg rozkazał! Ziemia — nasza! Praca — nasza! Wracajmy z błogosławieństwem bożem! Ziemia — nasza! Praca — nasza!

Tłum, jak orzeł, zerwał się z góry, a porwawszy Krysta i Orlę, jak dwa gołębie, odleciał w stronę swego gniazda.

WIDOK 15.

Wonna, rozśpiewana, młodością szczęśliwa wiosna, ukochana córka nieba i ziemi, zajaśniała tego dnia wszystkimi swoimi czarami. Pieszcząc się z rozmiłowaną w niej matką, posyłała ciągle uśmiechy ku dostojnemu ojcu, który z wysoka patrzał na nią dumnem i promiennem obliczem słońca. Zaledwie kwiaty wypiły poranną rosę, kiedy na wielkim placu stolicy zaczął się gromadzić tłum ludu, około trybun zatoczonych wielkim półkręgiem. W jego przerwie, na osobnem wzniesieniu, umieszczona była wspaniała loża, opięta białą i czerwoną materyą. Na środku placu leżały dwa stosy chrustu z zatkniętymi w nie słupami żelaznymi.

Niecierpliwi tłoczyli się coraz liczniej u wejścia do trybun, które było jeszcze

w szkole elementarnej, z uzasadnieniem, że szczerze sprawie oddanych *trade-unionistów* otrzyma organizacya klasy robotniczej wtedy tylko, gdy taka nauka zaprowadzoną zostanie. Zupełnie analogiczne dążenia spostrzedz się dają w klasach wyższych. Współdziałanie inteligencyi i sfer zamożnych, które zaznaczyło się w ostatniem dziesięcioleciu całym szeregiem istotnie poważnych i pięknych czynów — popycha te sfery od postrzegania symptomatów nędzy do badania jej źródeł i objawia im konieczność radykalnego oddziaływania na wolę ludzką: tylko w ten sposób dokonać będą mogli przedziwnego odrodzenia społecznego narodu angielskiego. Ruch etyczny w Anglii objął dziś nietylko sfery inteligencyi, lepsze sfery burżuazyi, sfery robotnicze (i ich rzeczników), ale nawet organizacye z dawnemi tradycyami, jak np. wielką rodzinę pozytywistów angielskich z jej patryarchą, Fryd. Harrisonem.

Liczą dziś w Anglii po nad dziesięć towarzystw etycznych, z tych większa część znajduje się w Londynie. Ilość członków wynosi więcej, niż tysiąc. Rozwojowi ruchu etycznego w Anglii szkodzi najwięcej wpływ kościoła i zróżniczkowań sekciarskich narodu angielskiego, które po części pełnią funkcye podobne do działalności towarzystw etycznych, skutkiem czego członkowie ich i wyznawcy nie czują potrzeby przyłączenia się do ruchu etycznego. W r. 1896 — sześć towarzystw angielskich połączyło się w jeden „Związek Tow. etycznych" (Union of Ethical Societies), który corocznie odbywa kongres. Związek ten zaprojektował ostatnio i międzynarodowy kongres etystów, który, o ile przyjdzie do skutku, będzie niezmiernie ciekawym objawem współczesnych dążeń duchowych człowieka.

Związek wydaje czasopismo, *Ethical World*, które obwieściło w prospekcie swoim: „Ruch etyczny objawia się w nowoczesnym kierunku filozofii, w umiejętności społecznej i krytycyzmie, w organizacyach pracowników, w stowarzyszeniach filantropijnych i pedagogicznych w reformach politycznych, w towarzystwach wolnomyślicieli — i w specyalnych gminach etycznych. Myśl społeczna zakreśla coraz szersze koło, życie społeczne barwi się coraz bogatszem kwieciem — a śród tego życia i tej myśli zaczyna się budzić coraz głośniej nowa świadomość etyczna."

NASZE ODŁOGI.

Jeszcze w roku przeszłym, gdy węgle podrożały, kładliśmy nacisk na potrzebę wyszukania innego materyału opałowego; ale ponieważ wtedy było jeszcze ciepło, więc nasze rady przebrzmiały bez echa, przeszły mimo uszu nawet ludzi najbardziej zainteresowanych. Mówiliśmy wtedy o potrzebie eksploatacyi bogactw, pozostawionych dotychczas w ziemi odłogiem: torfowisk starych i rozległych, rozrzuconych w różnych miejscowościach kraju. Podaliśmy przykład, co w tej mierze uczyniła zagranica, jak wszechstronnie potrafiła wyzyskać ten materyał surowy, lekceważony u nas, lub nie oceniony należycie. We Francyi, Holandyi, Holsztynie, tudzież w wielu miejscowościach Niemiec, torfowy przemysł przetwórczy doszedł do wielkich rozmiarów. Potrafiono tam z nadzwyczajną skrupulatnością wyzyskać wszelkie produkty z tego materyału. Dosyć przytoczyć parę przykładów: sześcienny sążeń torfu suchego, wagi 150 pudów, daje 150—170 funtów amoniaku (13 rb. 30 kop. do 61 rb. 50 kop. za pud, średnio 36—37 rb.). Za granicą za 100 kilogramów tej soli placą 50 fr. Produkt ten dziś już wyrobił sobie rozległe rynki zbytu i ma poważne znaczenie w handlu. Nadto za granicą umieją z torfu wydobywać: smołę, benzynę, olej oświetlający, smary, parafinę itd. Jako materyał opałowy, torf tam jest bardzo poszukiwany i w wielu razach, ze względu na swą dobroć i taniość, zastępuje zupełnie węgle (kilogram węgli kamiennych średniego gatunku daje 7,500 jednostek ciepła; taka sama ilość koksu torfowego — 6,400 jednostek).

Mówiliśmy o tem wszystkiem obszernie i radziliśmy sekcyi rolnej i technicznej Towarzystwa przemysłu i handlu, ażeby zbadały tę sprawę i postarały się wysłać za granicę chociaż paru młodych technologów. Następnie zachęcaliśmy interesowanych do zawiązywania spółek do eksploatacyi torfu. Ale, jak rzekliśmy powyżej, głos nasz przeszedł mimo uszu i dopiero gdy nagła potrzeba przycisnęła, zaczęto o tem myśleć, zgodnie z przysłowiem o biedzie i żydzie. Mianowicie poruszono tę sprawę na posiedzeniu sekcyi technicznej, a w parę miesięcy potem w oddziale kaliskim Towarzystwa przemysłu i handlu. Jak mało jednak jesteśmy przygotowani do pracy w tej nowej dziedzinie, świadczy projekt owej instytucyi, pełen humoru mimowolnego. Zaproponowano, ażeby zarząd rozesłał kwestyonaryusze do obywateli ziemskich dla zebrania danych statystycznych, dotyczących przemysłu torfowego i torfowisk w gub. Kaliskiej. Ponieważ istnieją bardzo ubogie dane o stanie geologicznym i mineralogicznym nietylko w gub. Kaliskiej, lecz i w całym kraju, więc na wniosek p. Alfonsa Parczewskiego postanowiono uprosić Kasę Mianowskiego, ażeby zechciała wysłać delegacyę do zbadania ziemi kaliskiej pod względem geologicznym i mineralogicznym. Biedna Kasa Mianowskiego! Bądź co bądź, sam projekt po za stroną humorystyczną jest wielce znamienny; świadczy on, jak się błąkamy po omacku pod każdym względem, jak jesteśmy naiwni, dziecinni i ubodzy w siły fachowe. Zdawałoby się, że Towarzystwo przemysłu i handlu, posiadające w naszym kraju oddziały w najważniejszych ogniskach przemysłowych — grupuje w sobie wszelkiego rodzaju specyalistów, a więc: techników, chemików, inżenierów, geologów itd. Tymczasem w łonie tego samego Towarzystwa powstaje myśl szukania owych specyalistów za pośrednictwem... Kasy Mianowskiego!

Ciemnota i naiwność—to wyborna mierzwa na naszym gruncie społecznym, ułatwiająca kiełkowanie i wzrost oszustwa i spekulacyi. Różni aferzyści, mając tak wymowne dowody niemowlęctwa nawet w instytucyach, które powinny kierować pracą organizacyjną — postanowili wyzyskać przyjazne dla siebie warunki. „Skoro śród technologów, techników, inżenierów, rolników, przemysłowców itd. niema takich ludzi, którzy potrafiliby zbadać warunki eksploatacyi torfowisk i ułatwić stworzenie nowej gałęzi przemysłu — to dlaczegoż my mamy stać z założonemi rękami?" Tak sobie powiedzieli różni aferzyści z pod ciemnej gwiazdy i stworzyli ruch w eksploatacyi torfu. Podobno tu i owdzie pozawiązywano spółki i spółeczki, na których czele stanęli owi rybacy mętnych wód. Naiwni prostacy, idąc za ich namową, zaczęli kupować wskazane torfowiska. Wkrótce jednak przekonali się, że są wyprowadzeni nie w pole, nie w torfowiska, lecz w najzwyczajniejsze błota,

---

zamknięte cienkim łańcuchem, podczas gdy wewnątrz służba kończyła przygotowania do uroczystości.

W tłumie — pierwsza rozmowa.

— Od roku ciągle palą, a skutku nie widać. Czy Bogu jeszcze nie dość?

— Bogu za dużo, ale królowi i kapłanom za mało.

— Jeżeli ma być wkrótce koniec świata, czemuż nie zostawią grzeszników na sąd ostateczny?

— Przecie już termin minął.

— Więc to była plotka?

— Może nie tyle plotka, ile szachrajstwo.

Druga rozmowa.

— Czy to dziś tylko dwoje będzie spalonych?

— Alboż to na jednym stosie nie można ułożyć kilkoro? Miejsca nie brak.

— Widocznie dziś dla Arcykapłana wybrali grubsze sztuki.

— Zapewne że mu nie usmażą paru mizernych chłopów, którzy obnosili jakąś nową ewangelię i zbuntowali się przeciw pa...

— Ach, prawda, herold ogłaszał, że dziś będzie stracony ich przywódca ze swoją kochanką.

— Mnie się zdaje, że go nie złapali, tylko chcą się popisać przed Arcykapłanem. Słyszałem od żołnierzy, że już kilka razy mieli tego zbója w ręku, ale zawsze zamienił im się na mgłę i zniknął.

— Choćby go nawet schwycili, nic mu nie zrobią, bo przecie djabeł ognia się nie boi.

Trzecia rozmowa.

— Chodźmy stąd, nie warto czekać i dusić się w ścisku.

— Zostanę.

— Czyż nie widziałeś już dziesiątki razy tej kuchni? Co zobaczysz nowego?

— Arcykapłana.

— Daruj go gapiom.

— Zawsze to ciekawe.

— Narysuję ci węglem w winiarni. Zresztą jeszcze zdążysz na tę paradę. Chodź, wypijemy.

— Nie.

— Oszalałeś? Cóż ja zrobię z pieniędzmi?

— Nie woda, nie wyciekną ci z kieszeni.

— Idę sam, ale powiem twojej dziewczynie, że cię złapali i spalili. Niech sobie głowę rozbija przez kilka godzin

— Bodaj cię wkręcili jako kran w beczkę. Pójdę, ale pamiętaj, że zaraz wrócę.

Czwarta rozmowa.

— To kara za słaba. Ja bym ich piekł na rożnach przy wolnym ogniu.

— I to wystarczy.

— O, nie, płomienie stosu za szybko pożerają.

— Ale za to męki w piekle trwać będą wiecznie. Co się tu skróci, to się tam przedłuży.

— Do czego już doszła ta zbrodnicza zuchwałość, jeśli nawet młode kobiety wstrząsają tronem i ołtarzem.

— One o tem nie myślą, tylko chcą się podobać swoim kochankom.

— Co za ohydne czasy! Doprawdy chyba zbliża się koniec świata.

— Ja nie rozpaczam. Bóg zawsze daje złemu mniejszą moc niszczenia, niż dobremu siłę naprawy.

Piąta rozmowa.

— Na pewno wiesz, że oni?

— Niewątpliwie.

— Tylko dwoje?

— Tak.

— Gdy głowa będzie odcięta i serce wydarte, co pozostanie?

— Ich myśli i uczucia.

— Kto je przechowa?

— My.

— Och, czy nas wkrótce nie zbraknie?

— Tylko głupota i podłość schodzą ze świata bezpłodnie; mądrość i cnota pozostawiają zawsze potomstwo.

— Wezmę twoją wiarę, bo moją straciłem.

za które słono zapłacili i nie znaleźli tam wcale torfu.

Fakty te bardzo wiele mówią i mogą nawet dać cenne wskazówki. Z jednej strony przekonaliśmy się, że nie mamy wcale specyalistów, którzyby potrafili zbadać niewyzyskane bogactwa ziemne i stworzyć przemysł na podstawach racyonalnych; z drugiej — śród mas ludności istnieje dążność do zawiązywania spółek i wyzyskiwania tych bogactw, pozostawionych dotąd odłogiem. Jeżeli ta ludność jest tak dalece pochopną do nowej pracy, że się nie boi ryzyka, że nawet nie zrażają jej przykłady oszustwa i zawodów, to o ileż mogłaby być pochopniejszą, gdyby jej dobre chęci i fundusze zużytkowano odpowiednio!

Jeszcze raz tedy przypominamy, że Towarzystwo przemysłu i handlu powinno uważać za swój obowiązek wysłanie technologów za granicę do zbadania stanu produkcyi torfowej, a następnie stworzenie organizacyi wywiadowczej w kraju i zawiązanie spółek. Taką drogą można tylko usunąć dotkliwy brak paliwa w kraju. Jednocześnie zaś nowy przemysł wytwórczy i przetwórczy dałby pracę setkom a nawet tysiącom ludzi.

Sprawa ta jest tem bardziej na czasie, że obecnie zaczęto o niej mówić w ministeryum rolnictwa. Rezultatem narad w tych sferach są następujące wnioski: 1) Należy za pomocą specyalistów zbadać torfowiska i ogłosić wyniki tych poszukiwań. 2) Urządzić laboratorya i biuro badań próbek torfowych. 3) Stworzyć stacye doświadczalne do oceny torfu, maszyn, przeznaczonych do jego eksploatacyi, a nadto stworzyć kursy przy tych stacyach do wykwalifikowania odpowiednich majstrów i robotników. 4) Uprzystępnić warunki dzierżawy i eksploatacyi torfowisk skarbowych. 5) Zniżyć taryfy na przewóz torfu i poczynić inne ułatwienia w tej mierze. 6) Zapoznać włościan z eksploatacyą i użyciem torfu. 7) Wzmocnić przy ministeryum rzeczoznawstwo w sprawie torfowej i zwiększyć fundusze na badania owej dziedziny. Dla dokładnego opracowania tej sprawy stworzono osobną komisyę pod przewodnictwem p. Urbanowicza.

Zen. Piet.

FEJLETON.

Z CZASU.

Bogaty temat.

Oglądałem w tych czasach ilustracye jednego z pism angielskich, które ze spokojem Baedeckera pokazało czytelnikom, jak wygląda głód w Indyach. Całe rodziny niedoszłych trupów, szkielety w pokrowcach ze skóry! Po pierwszem wrażeniu, mimowoli pomyślałem:

— Jak też wygląda człowiek, który takie grupy ludzkie fotografuje i dostarcza pismom? Musi to być jegomość, któremu w pewnych chwilach serce jest zgoła niepotrzebne. Po chwili przyszło prawomyślne zastanowienie i usprawiedliwiło tego korespondenta. Jego nie proszą o serce i o wyrazy litości. On ma za zadanie spokojnie obsłużyć platoniczny płacz, który chociażby tu, w Warszawie, wstrząsać będzie naszemi piersiami. A więc patrzmy. Oto familia ludzi głodnych. Niektórzy przykucnęli na ziemi. Wyglądają jak gdyby ich zakopano do pasa, a dla obrony od nóg przechodniów wetknięto przed każdym po dwa kołki na krzyż. Te kołki — to nogi. W oczach mają wszyscy taki wyraz, że bochenek chleba wystawiony na działanie ich wzroku, stopniałby, jak śnieg. Troje dzieci leży na brudnej macie, jak rzucone w pracowni malarskiej drewniane manekiny. Najnaturalniejsza pozycya bezwładu w wykonaniu tych umierających istot robi wrażenie potworne. Jakaż to otchłań nastroju! Gdyby ten nastrój wtłoczyć w skrzypce, plakałyby same. Jak też Europa spożytkuje ten okropny temat głodowy? Filantropia rzuci pieniędzmi, a nędza rozpatrzy się w obrazkach ze znajomością rzeczy i mruknie: „no, ci pokazali, co umieją,“ statystyka zaś uprzątnie po widowisku i poda rachunek.

A jeżeli komuś przyjdzie do głowy wyzyskać te motywy w obrazie? Wszak robiono studya nad wisielcami. Dobrze, ale jeżeli modernista rzuci na płótno dziesiątek postaci różnej płci i wieku, zapatrzonych w jeden jakiś punkt, wychudłych i chudnących ciągle w oczach — i zatytułuje obraz, „wspomnienie,“ albo „nowa myśl,“ albo „oczekiwanie geniusza.“ Taki modernista, jeżeliby to zrobił zaraz po powrocie z Indyj, postąpiłby jak człowiek, który przynosi muchomora z wycieczki na grzyby.

Pod wpływem tych myśli znowu wpadłem w zadumę. Zaczęły mi się snuć po głowie tak zwane bogate tematy. Oto pogrzeb biedaka w wielkiem mieście. Za trumną idzie przystojna kobieta w wytartej aksamitnej pelerynce koloru żółtego i w postrzępionej czerwonej spódnicy. Ta mieszanina barw nie zepsuje nikomu litościwego nastroju, ale może razić estetę, wymagającego od żałoby, ażeby była czarną.

Takiego uczuciowego koziołka musi zrobić artysta, który złapie taką trumnę, namaluje przy niej kobietę w czerwonej spódnicy i powie, że to się razem nazywa: „postęp,“ albo „nowoczesna żałoba.“

Taki pogrzeb, również jak głodowe sceny w Indyach istnieją w sztuce pod nazwą bogatych tematów. Dzięki tym scenom, niejednokrotnie śmieliśmy się, lub przynajmniej spokojnie filozofowali w galeryach, gdy tymczasem artysta płakał, patrząc na okropne modele. Otóż nie mam zaufania do artysty, który ukrywa na płótnie cały swój płacz. Wolę zawsze odszukać odpalonego kochanka na weselu, niż na pogrzebie usłyszeć szczery śmiech, w każdym razie pragnąłbym od artysty wskazówek na płótnie, co i gdzie usłyszał, gdyż obawiam się, ażeby wysłany do Indyj podczas głodu, nie przywiózł w tece samych filozofów natchnionych wraz z otuchą, że nie ma tak wielkiego nieszczęścia ludzkiego, przy którem z rękami w kieszeniach nie możnaby wykształcić filozoficznie swego umysłu.

Wogóle na cmentarzyskach szukajmy wspomnień, nie wygłaszajmy mów pogrzebowych na weselach, nie zmuszajmy greckich bogów, ażeby się modlili.

W poszukiwaniu bogatych tematów wytworzyli artyści nową pseudoklasyczną giętkość mózgu, który w klamce więziennej widzi tak dobrze zaporę do szczęścia, jak i drogę do bezpłatnego odpoczynku.

Tadeusz Ulanowski.

Szósta rozmowa.

— Nic nie pomogło. Nie chcieli ani pić, ani brać pieniędzy, ani nawet rozmawiać. Poprostu psy nieprzejednane.

— Więc nawet nie widziałeś nikogo?

— Nic. Chodziłem koło więzienia i wyłem z bólu. Zdawało mi się, że w jednem okienku ukazała się twarz, ale nie mogłem jej dojrzeć wyraźnie.

— A ja byłem przekonany, że uda się przekupić stróża. Ha, stało się!

— I może dobrze.

— Co ty powiedziałeś?

— Ty wiesz, jak ja ich czczę i kocham, ile żalu wyleje mi się z serca na ich święte popioły. A jednakże mówię, że ich śmierć jest koniecznością i tryumfem. Bez męczeństwa najszlachetniejsze głosy przebrzmiewają jak śpiewy słowicze, najjaśniejsze prawdy gasną jak meteory. Krew chrzci i zbawia ideje, krew im nadaje nigdy niemilknący krzyk i nigdy niemroczniejący blask, krew je ciska w przyszłość z taką potęgą, że lecą przez nią aż do kresu istnienia ludzkiego. Może plamy słońca są plamami krwi i dlatego ono świeci wiecznie. Płaczmy, ale nie skarżmy się. Te piękne ciała spłoną, ale te promienne duchy od nas nie odejdą. One ciągle unosić się będą nad nami, nad całą ludzkością, my słyszeć będziemy szum ich skrzydeł, cichy szept ich ust. Ja jeszcze wczoraj sądziłem, że nie zniosę okropnego widoku tej ofiary. Dziś będę na nią patrzył, jak na łunę zachodu słońca, z wiarą, że po nocy wschód nastąpi.

Tłum coraz bardziej przelewał się, kłębił i wpierał w rozwarcie trybun. Wreszcie zdjęto łańcuch i masa ludzka, jak wezbrana rzeka, wtoczyła się z hukiem w okrąg trybun, zdobywając miejsca najbliższe stosów.

Głosy.

— Mężu, tutaj, stąd lepiej będzie widać!

— I tu dobrze.

— Stamtąd nie zobaczysz skazańców.

— Doskonale.

— Kiedy oni będą obróceni twarzami do króla i arcykapłana.

— Nic nie szkodzi.

— To zostań sobie, kiedyś uparty.

* *

— Mamo, spiesz się, trzymam dla ciebie miejsce.

— Posuń się panna, do stu djabłów, bo wypchnę.

— Patrzcie go, jaki srogi ekonom!

— Ekonom, czy nie ekonom, a panna spódnicy nie rozkładaj!

— Niech mama tu nie przychodzi, bo ten prostak nie ustąpi.

— Wielka dama, udaje, że ma dwa siedzenia.

Gdzie mój mały? O, Boże, zginął mi... Jeszcze go roztratują.

— Po co pani bierze dziecko na taki ścisk?

A pani co do tego? Czy ja go od pani pożyczyłam? Księża gospodyni, chce jej się kazania prawić!

* *

— Doskonałe miejsce. Będziemy wszystko widzieli: i króla, i arcykapłana, i skazańców.

— Podziękuj mi, żem tę ławkę zdobył.

— Od czegóż jesteś mężem?

— No, nietylko od tego. Nic zostało tam jeszcze co do zjedzenia, bo jestem głodny, jak ogień.

Mam tylko jedną pomarańczę.

— To wolę się gapić.

*

— Siadać! Siadać!

— Nie zasłaniać!

— Przed trybunami nie wolno stać!

— A może ci panowie będą także pieczeni?

— To niech się posuną do stosu.

— Dalej!

— Ha, ha, ha!

(D. n.).

PAMIĘTNIK.

Wielki starzec.

W roku bieżącym H. Spencer kończy 80 lat życia. Pamiątkę tę słusznie odznacza w toku spraw bieżących praca całego ucywilizowanzgo świata. Wielki ten mędrzec już nie postępuje na przodzie myśli, której szybkie kroki w ostatnich latach wyprzedziły go, ale nawet widząc go opóźnionym i niedociągającym swego czasu, trzeba przyznać, że był jednym z nowoczesnych tytanów filozofii, że do niej swemi licznemi dziełami wprowadził potężną i ożywczą falę. Przez swą wielostronność, przez ogarnięcie rozległych widnokręgów i różnorodnych dziedzin poznania zajął on to stanowisko, które zajmowali dawniej znakomici mistrze. Dziś już ten ród filozofów ogólnych prawie wyginął i ustąpił miejsca specyalistom. A jakkolwiek ci ostatni może bardziej odpowiadają potrzebom epoki i pozostawiają dzieła trwalsze, imponującą jest postać myśliciela, który po za polem walk, interesów, gwaru i kurzu stronniczego z wysokiego szczytu patrzy na świat i rozważa w spokoju jego najtrudniejsze zagadnienia. Chmura opasująca i zaćmiewająca dziś to światło filozofii nie gasi jego blasków i nie zmniejsza jego dobroczynnych wpływów w historyi, która imię Spencera długo wspominać będzie z szacunkiem i wdzięcznością.

Z pod rąbka zasłony.

Na ostatniem zebraniu Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy p. S. Dembiński uchylił rąbek zasłony i ukazał nieładny obrazek, po za którym ma się znajdować jeszcze brzydszy, starannie zakrywany a zasługujący na oświetlenie w interesie instytucyi. Mianowicie p. D. wezwał przewodniczącego w wydziale zabaw do wytłomaczenia się: dlaczego wyznaczona na ten cel suma została przekroczona o 131 rb. 87 kop.? Właściwie zapomocą tego małego grzechu chciał wyciągnąć na wierzch duże. Z rachunków bowiem wydziału dobył on tajemnice bardzo szczodrej a nagannej gospodarki. I tak — według nadesłanego nam wykazu szczegółowego — wydano: na wina, kwiaty, kokardki, cygara, „sukienkę rzymską,“ „fotografowanie dziecka,“ ugaszczanie reporterów itd. 607 rb. 80 k. Podczas zdradzania tych dziwnych sekretów na zebraniu usiłowano zagłuszyć lub steroryzować interpelanta krzykami, wymysłami lub argumentami tak przekonywającej siły, jak np. korzyści z reklam pisanych przez nakarmionych i napojonych dziennikarzów— i gdyby przewodniczący obradom p. Matecki nie powstrzymał zbyt gwałtownych wybuchów gniewu, przyszłoby zapewnie do starć jeszcze energiczniejszych. Ale zatamowanie upustów nieparlamentarnej wymowy nie usunęło ujawnionej prawdy i nie powstrzymało opinii od zastanowienia się nad gorszącem odkryciem. Nie może ona zachować się obojętnie wobec faktu, że podczas gdy wdowy po członkach otrzymują 7 rb. 50 k. miesięcznie zapomogi, Towarzystwo wyrzuca setki rubli na zbytki, przyjemności pasorzytów reporterskich, „sukienki rzymskie,“ „fotografowanie dziecka,“ winietki kart obiadowych z reklamami zakładów przyjacielskich itp. Nadmieniamy przytem, że dostarczone nam sprawozdanie, z którego wyjęliśmy powyższe szczegóły, zawiera jeszcze inne drażliwszej natury, które pomijamy przez wzgląd na dobro instytucyi, która albo powinna — jeśli może — odjąć zarzutom p. Dembińskiego podstawę, albo też doprowadzić swoją gospodarkę do porządku.

Prawidłowość „Merkurego.“

Od czasu do czasu pojawia się w dziennikach warszawskich artykuł szczególnego rodzaju: komisya rewizyjna, wybrana przez zgromadzenie członków Towarzystwa spożywczego „Merkury,“ ogłasza, że zarząd nie dopuścił jej do zbadania ksiąg i odmówił objaśnień, że poprostu — jak wolno czytać między wierszami — wyprosił ją za drzwi. Taki protest pomieszczony został obecnie w *Kuryerze Warsz.* Który z rzędu— nie pamiętamy. Zdawałoby się, że w każdem społeczeństwie, w którem raz tylko rzucono publicznie podobne oskarżenie, co najmniej członkowie instytucyi upomnieliby się energicznie o swoje prawa i zapobiegliby powtarzaniu się kompromitujących zatargów. „U nas inaczej“ — jak mówi poeta. Chociaż kłótnia rozmaitych kontrolerów z zarządem „Merkurego“ weszła w stan chroniczny, nie widzimy wcale znaków oburzenia. Przyzwyczailiśmy się do niej jak do nowiu, porównania dnia z nocą lub śniegu zimowego, uważamy ją za jeden z objawów prawidłowości życia. Jeżeli pisma humorystyczne zechcą zabawić się tą sprawą, to i owszem, a jeżeli nie — to niech ona sobie płynie jak wiór na bieżącej fali ku zapomnieniu. Poważnie zastanawiać się nad nią nikt nie myśli. Ot ucieszna farsa, którą pp. Szumlański, Gasparski i Chwat, jako delegaci, odegrali mimowolnie i z której nie warto wyciągać żadnego sensu moralnego.

„Walka byków.“

Przez czas kilku ostatnich tygodni arena cyrkowa, gdzie zazwyczaj popisują się się tresowane zwierzęta i klowni, była widownią turnieju atletów. Kto i co to jest „atleta“? To poniekąd rezultat współczesnych stosunków ekonomiczno - społecznych. Żyjemy wszak pod hasłem najzupełniejszego podziału pracy. Nietylko że nie pieczemy mazurków, gdyż „lepiej, a nawet taniej“ dokona tego arcydzieła cukiernik, ale nawet nie potrzebujemy już mieć smaku estetycznego, gdyż jest od tego tapicer, urządzający episierom i dorobkiewiczom mieszkania z gustem, którego nie powstydziłby się Petroniusz — jest krawiec, fryzyer itd. „Atleta“ zagarnął w swoje wyłączne posiadanie siłę muskularną, wyspecyalizował się w tym kierunku, uczynił sobie z tych zdolności, z tej specyficznej sprawności *zawód*. Objeżdża świat, zbiera odznaczenia i daje przedstawienia w cyrku — za opłatą. Nie mamy nic przeciwko wyrabianiu siły fizycznej; przeciwnie, sądzimy, że jest to koniecznem, albowiem stanowi przeciwwagę naszego „uduchowienia,“ zdenerwowania, przepracowania mózgowego i zblazowania. Gimnastykujmy się, ile kto może tylko. Lecz nie urządzajmy parodyi „igrzysk olimpijskich,“ od których odbiegliśmy na tak daleką metę, że już chyba nigdy nie wrócimy do nich. Zapasy siłaczów mają racyę bytu, o ile się odbywają w miejscu zamkniętem w obecności znawców, również atletów, albo uprawiających ten sport towarzyszów. Pamiętajmy zawsze, że w igrzyskach olimpijskich brał udział *lud* grecki, dlatego, że wszyscy w nich popisywać się mogli. wszyscy bowiem byli tam w równym stopniu siłaczami, czy atletami. Urządzanie jednak takich turniejów w miejscu tak dalece „publicznem,“ jak cyrk, przy udziale tłumów niewykształconych, surowych, uważamy za fałszywy, a nawet bardzo zły krok. Jakie uczucia budzić może w organizmie publiczności cyrkowej — walka dwu nieprzytomnych olbrzymów-Polifemów, którzy przez trzydzieści albo i więcej minut trzymają w napięciu nerwy nieprzyzwyczajonych do takiego widoku, ale w dużej części łaknących *silnych* wrażeń mas? Jeżeli z najwyższym wstrętem opowiadamy i opisujemy czynności takich specyalistów, jak rzeźnicy, którzy w wielkich rzeźniach Zachodu, albo Ameryki, zarzynają codziennie, w przeciągu kilku godzin, sto, dwieście i więcej wołów, jeżeli tępimy „nożowników“ i skazujemy ich na przymusowy internat w pewnych miejscowościach, to doprawdy nie rozumiemy, z jakiego tytułu i w jakim celu odbywają się podobne przedstawienia w cyrku warszawskim, zupełnie pod względem wrażeń, jakie budzą, przypominające walki byków w Hiszpanii. Prasa nasza — jak zwykle zresztą — spełnia w tym wypadku swój obywatelski obowiązek: kuryerki podawały nadzwyczaj ściśle prowadzone sprawozdanie z tych orgij zwierzęcych. Miała to być zapewne nagroda dla zwycięzców, ale była to przedewszystkiem zachęta dla rycerzy pięści i doskonały bodziec dla drzemiących jeszcze na dnie duszy człowieka współczesnego instynktów zwierzęcych.

Samopomoc społeczna i tania porada lekarska.

W ostatnim numerze *Krytyki lekarskiej* dr. Sterling podnosi i próbuje rozwiązać bardzo żywotną kwestyę racyonalnej pomocy lekarskiej dla biednych. Według danych statystycznych, zebranych przez autora, liczba porad, udzielanych bezpłatnie chorym przychodnim przez lekarzy warszawskich, dosięga 400,000 rocznie. Pozostaje jeszcze znaczna a niedająca się obliczyć liczba porad, udzielanych w domu chorym obłożnie. Jedyną zasadą, na której opiera się owa pomoc, jest filantropia, ta chromająca i niedołężna staruszka, jak ją słusznie nazywa autor. Jak wszelka filantropia, tak i ta zupełną filantropią nie jest. Lekarz, najczęściej młody, wzamian za bezpłatną poradę ma bezpłatny materyał kliniczny, na którym może uzupełniać braki swego fachowego doświadczenia, osiąga rozgłos wśród publiczności, przez praktykę bezpłatną wciska się powoli w praktykę płatną. Chory zaś tę poradę bezpłatną okupuje dużą stratą czasu: zmuszony bywa częstokroć pędzić na przeciwległy koniec miasta, wyczekiwać godzinami całemi w poczekalniach ambulatoryjnych itd. Niemniej przeto wyzysk lekarzy istnieje niewątpliwie i to całkiem bez powodu. Chorzy bowiem ubodzy, opłacając dosyć wysoki podatek szpitalny, w granicach tego podatku mają prawo żądać bezpłatnej pomocy lekarskiej i jeśli żądanie to staje się źródłem wyzysku, to nie oni są wyzysku tego sprawcami.

Jedynym radykalnym środkiem zaradczym byłoby zupełne unarodowienie całej medycyny, tj. powrót do czasów zamierzchłej przeszłości, kiedy, jak w starożytnym Egipcie (jeśli wierzyć Diodorowi Sycylijskiemu) lekarze byli płatni przez rząd, a żyli jednak w zupełnym dostatku. Egipcyanie bowiem słusznie mniemali, że sztuka tak szlachetna i tak ważna, jak medycyna, nie powinna nigdy narażać swych adeptów na niedostatek, wymaga bowiem od nich, aby mieli zawsze umysł wolny od wszelkiej troski i serce zadowolone; człowiek, któremu zbywa na niezbędnem, nie potrafiłby być bezinteresownym, jedynie zaś dobrobyt pozwala człowiekowi być szlachetnym: wreszcie lekarze, mający na celu niesienie ulgi cierpiącej ludzkości, nie powinni nigdy być narażani na niewdzięczność ze strony chorych.

Zanim reforma taka nastąpi, społeczeństwo winno samo zająć się uregulowaniem pomocy lekarskiej dla swoich biednych. Najwłaściwszą po temu drogą jest samopomoc poszczególnych grup społecznych, np. cechów, kupców pracujących w jednej gałęzi handlu, urzędników jednych dokasteryj lub zrzeszenie się terytoryalne osób zamieszkujących te same okolice. Takie grupy powinny na wzór fabryk, kolei żelaznych, ochron itp. kontraktować dla siebie pomoc lekarzy specyalistów (mieć ich tylko więcej i opłacać lepiej, niż koleje

i fabryki); porada pojedyncza wypadnie wtedy dla każdego stowarzyszonego o wiele taniej i będzie o wiele lepszą, wypływać bowiem będzie nie z filantropii, lecz z obowiązku. Że jest to możliwem nawet w naszych warunkach, to stwierdzają tak zwane *chewry*, istniejące wśród uboższych warstw tutejszej ludności izraelskiej. Członkowie tych instytucyj jednoczą się najczęściej na zasadzie zamieszkiwania pewnych okolic i za pewną składkę mają stałą pomoc lekarską i środki lecznicze.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Wilhelm Bogusławski: *Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej od połowy XIII wieku.* Dzieło uwieńczone na konkursie Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, z funduszu ś. p. Brejtkrajcza. Poznań, nakładem autora, tomów cztery, 1887—1900.

I.

Jeżeli rzeszę ludów słowiańskich uważać zechcemy za pewną w sobie skupioną całość, za jednostkę etniczną, mającą w przeszłości wspólne jakieś cechy charakteru i dążeń, a w przyszłości jakieś możliwe widoki interesów i zadań wspólnych, wówczas w historyi ogólnego rozwoju tego aglomeratu uderzy nas niewątpliwie jedno wielkie zjawisko, jeden fakt znamienny, mający doniosłość powszechną, wszechludzką, wszechdziejową. Faktem tym jest: powolne, stopniowe a ciągłe i nieustające usuwanie się słowiańskiego tego morza z zachodu na wschód, z Europy do Azyi. W czasach najzupełniej pewnych, naukowemu sprawdzeniu po dziś dzień dostępnych, zachodnia granica Słowian sięgała do środkowej i dolnej Łaby (Elby), granice zaś wschodnie biegły w liniach łamanych, zygzakowych, około Nowogrodu Wielkiego, Pskowa, Jarosławia, Smoleńska, Czernihowa, do ujść Bohu i dolnego Dniepru (zob. mapę przy pierwszym tomie „Istorii" Karamzina): przytem obszar cały, w wiekach IX, X i XI, rozsuwał się na dwie połowy, jakby rozszczepiony grubym klinem plemion litewskich, siedzących od ujść Wisły do ujść Dźwiny na całem porzeczu Niemna i Narwi, aż do środkowego Bugu, przy Brześciu-Litewskim. Na południe od tej rozdartej całości, po za Karpatami, nad dolnym Dunajem i ku Bałkanom, mieściły się rozmaite słowiańskie resztki i rozbitki — bułgarskie lub awarskie, rumuńskie lub madyarskie. W początkach wieku XII, w r. np. 1110, kiedy najdawniejszy z kronikarzy słowiańskich, mnich kijowski, Nestor, zamykał swe opowiadanie, już zachodnia połowa Słowiańszczyzny, przeważnie czesko-lechicka, poszarpana w kawałki między Łabą a Odrą, przedstawiała widok powodzi, która ustępuje i wysycha, gdy tymczasem połowa wschodnia, zwana od najścia drużyn normańsko - waregskich (na schyłku IX-go wieku) ruską, coraz bardziej występowała ze swoich brzegów i odnogami kolonizacyjnemi wylewała się za Dniepr, ku porzeczu Wołgi, ku podnóżom gór Uralskich i na północ aż do Oceanu Lodowatego. Dziś, po ośmiu wiekach żywiołowych w tymże kierunku ruchów, Rosya, wschodnio-słowiańska kolonia Rusi nadnieprzańskiej i nowogrodzkiej, znana początkowo pod skromnem mianem Wielkiego Księztwa Moskiewskiego, oddawna przekroczyła Ural i Kaukaz, zagarnęła północną i środkową Azyę i dotarła do Oceanu Spokojnego, wtedy gdy Słowiańszczyzna zachodnio - polska (nadłabska, nadodrzańska, pomorska), ciągnąca się niegdyś od holsztyńskiego Stargardu do kaszubskiego Gdańska z Ankoną, Wolinem, Szczecinem, stała się jednem wielkiem cmentarzyskiem słowiańskiem, z niedobitemi nad górną Łabą i górną Odrą strażnicami Łużyczan i Szlązaków.

Olbrzymie czterotomowe dzieło Wilhelma Bogusławskiego opowiada nam właśnie okrutne losy i niezawistny żywot tej naszej pobratymczej, połabskiej i nadodrzańskiej odumarszczyzny. Na zgliszczach i rumowiskach, na gruntach wykarczowanych za dni Bolesława Chrobrego przez pokrewne jego drużynom rody obotryckie i lutyckie, szeroko i dostatnio rozsiadł się obecnie szczep germański, teutoński, zajmujący na pierwszej przy dziele Bogusławskiego mapie, w II wieku po Chrystusie, za czasów Tacyta (znanych nam głównie i może wyłącznie z panoramy Styki, „Zachodzącego słońca" Jeske - Choińskiego i z „Quo vadis" Sienkiewicza)—zaledwie kiszkowate pasmo ziemi nadreńskiej, od Strasburga i Metzu do dzisiejszego Amsterdamu — cieńsze i uboższe nawet od pasemka, jakie w początkach wieku XIII zajmowała wśród Słowian Litwa przed-Giedyminowa.

Mimowolnie i być może na nieszczęście nasze nawinął się nam pod rękę Tacyt. Jest to, jak wszyscy wiemy, imię historyka rzymskiego o lat tysiąc wcześniejszego (um. około r. 1112) i Kadłubka (um. 1223), o tyleż bez mała starszego od kronikarzy germańskich Helmolda (około r. 1170), Adama Bremeńskiego (1076), Dytmara (um. 1018) i Widukinda (ok. 980), którzy o Słowianach połabskich i pomorskich pisali — starszego też o lat zgórą czterysta od Jornandesa i Prokopa (obaj około r. 550), dziejopisów średniowiecznych, którzy pierwsi imię Słowian w rocznikach i podaniach swych wspomnieli. Owoż Tacyt wiele w swoim czasie (około r. 107 po Chrystusie) słyszał o Germanii, Germanach i ziemiach przez rozmaite ludy germańskie zajętych; pozostawił nawet szczegółowy opis tych ziem i ludów. Nad Łabą, nad Odrą, od Renu do Wisły, od Dunaja do Skandynawii, siedzą u niego Chatty, Swewy, Ligowie, Gotoni, Rugi Swioni — ale o Słowianach, w ścisłem brzmieniu wyrazu, nie ma tu najmniejszej wzmianki, tak samo, jak np. w opisach ziem rakuskich z lat 1834—46, nie ma żadnego śladu istnienia Polaków pod Karpatami, mieszkają tam bowiem jedynie krakuerowie i lodomerzy austryaccy. Ale zarówno Tacyt, jak przed nim geograf Strabon (około roku 20-go po Chr.), przed Strabonem zaś Juliusz Cezar w pamiętniku wojen swych w Gallii, zaznaczyli mniej lub więcej formalnie i wyraźnie, że miano Germanii było całkiem ogólne, zbiorowe, okrywające nieprzebrane mnóstwo ludów różnorodnych. Narodem najliczniejszym i najpotężniejszym w Germanii, zajmującym całe jej południe i wschód, byli np. Swewowie, których Rzymianie nazywali i pisali stale: Suevi. Tegoczesne francuskie wydania historyków starożytnych, mają wszędzie: Suevi, Svevi, ale niemieckie głoszą *Suebi*, a to w celu przerobienia Swewów na Szwabów i wyprowadzenia ich miana od schweben, schweifen — włóczyć się, tułać się. „Pedagogowie polscy, na oślep zazwyczaj podążający za niemieckimi, używają również formy „Suebi" (warsz. wyd. J. Cezara); ale nie są zupełnie siebie pewni, gdyż we lwowskiem tłomaczeniu Cezara czytamy na pierwszych stronicach Swebi, Suebi (41, 62) zaś na str. 125 już i Swewy.

Próżne wykręty, daremne naciągania i przeróbki! Svevi, Swewy — to tyle, co ludzie „swoi," swojacy, bo tak Słowianie po dziś dzień w wielu miejscach nazywają siebie w odróżnieniu od obcych, np. od Czudów, jako ludzi cudzych. A od wyrazu „swój," swoi, już i do nazwy Słowian niedaleko. Jeszcze Paweł Józef Szafarzyk, znakomity badacz czeski, objaśniając w dziele „Slovanske starožitnosti" (Praga, 1837) nazwę „Suoveni," zapisaną u geografa Ptolomeusza, żyjącego w kilkadziesiąt lat po Tacycie (około r. 170), zauważył, iż niektóre plemiona słowiańskie, jak np. Słowieńcy, Morawianie, Słowaki zamieniają w mowie twarde *ł* na *u* lub *o*, powiadają *wuk* zamiast wołk, *wouna* zam. wołna, *dau*, *spao* zam. dał, spał; albo też jak Łużyczanie, Wielkopolanie pruscy i lud prosty w Królestwie Pol., zastępując *ł* przez *w*, mówią: *swowo* zam. słowo, *wawa* zam. ława itd. W czasach dawniejszych przedział między twardem i miękiem *ł* był bardziej wybitnym niżli dzisiaj, i grek lub łacinnik, słysząc z ust Słowian nazwę „Słoweni" z konieczności napisać ją musiał, jak i Ptolomeusz, Suoveni... Bądź co bądź, swojski i słowiański rodowód Swewów przyjmował się zwolna nawet w tegoczesnej nauce niemieckiej. Pierwszy kanonik ingolsztadzki, Dawid Popp, w rozprawie z r. 1821, zwrócił uwagę na to, że w krajach zasiedlonych niegdyś przez Swewów, nad górnym Renem, mówiono niewątpliwie po słowiańsku, gdyż wszystkie nazwy miejscowe i pamiątki noszą cechy słowiańskie. Z obszernym traktatem o Swewach wystąpił w r. 1826 August Wersebe, w dziele: *Die Volker und Volker-Bundnisse des Alten Deutschlands*, w którem wykazał, że nazwy Swawi i Sławi są identyczne, że nazwisko Słowian zjawiło się w tych właśnie miejscowościach, gdzie żyli Swewi, a dopiero później rozszerzyło się po innych krajach słowiańskich, że między Swewami a Teutonami istniała nieprzyjaźń odwieczna, że usposobienia, rodzaj życia i wyobrażenia religijne dwóch tych plemion były różne, że u Swewów nazwy miejscowe kończyły się najzwyklej na *itz* — słowem, dziwił się Wersebe, dlaczego badacze już dawniej nie zwrócili na to wszystko uwagi i nie zrozumieli, że Swewy i Słowianie są jednym i tym samym ludem... Odtąd zawiązał się spór, trwający po dziśdzień, w którym jednak historycy słowiańscy brali ciągle przewagę nad niemieckimi. Dziś, w piśmiennictwie polskiem nie istnieje już prawie najmniejsza wątpliwość co do słowiańskiego pochodzenia Swewów. Nawet Tadeusz Wojciechowski, który w pamiętnym, lubo po dziśdzień do końca niedoprowadzonym „Rozbiorze starożytności słowiańskich" (Kraków, 1873) zadał stanowczy cios dotychczasowym metodom poszukiwań archeologicznych, nie wahał się oświadczyć, że jakkolwiek ze wzmianek Cezara i Tacyta nie wynika jeszcze, aby imię Swewów oznaczało koniecznie „Słowianów," to jednak przyjąć można za dowiedziono, że „starzy Suevi byli krwi i języka słowiańskiego" (str. 20, przyp.).

A skoro tak jest, skoro tak było, skoro zgodzić się trzeba, iż cała środkowa Europa w pierwszych wiekach ery chrześciańskiej należała do Swewów — ludu z krwi i języka słowiańskiego, przeto reszta dowodzenia rozwija się z widocznością i pewnością dobrze postawionego zagadnienia matematycznego, bowiem w czasie ostatecznego upadku Cesarstwa rzymskiego, po licznych przemianach i wielkich wędrówkach ludów, jeszcze pisarze zachodni, jak Orosius lub Aethicus („Cosmographia," 58) najwyraźniej utrzymują, że większą część Germanii zajmują Swewy — *Germania ubi plurimam partem Suevi tenent.* Zjawia się później, w połowie wieku VI Jornandes, dygnitarz kościoła katolickiego w Rawennie, mający pod ręką obfite materyały i przytem czerpiący wiadomości z obszerniejszego dzieła Aurelego Kassiodora (517—534). Dzieło Jornandesa *De Getarum sive Gothorum origine et rebus gestis* (Paryż, 1851; Stuttgart, 1861), zajęte jest wprawdzie sprawami pośrednio tylko Słowian obchodzącemi, ale w niem po raz

pierwszy czytelnie nazwa ich wymienioną została: „Sclavini...“ W Scytyi—pisze Jornandes — mieści się Dacya, okrążona wyniosłemi górami (Karpatami?)... Od tych gór w lewo ku północy, na ogromnych przestrzeniach, aż do źródeł Wisły, zasiadł liczny ród Winidów, którego nazwiska zmieniają się według plemion i miejscowości, głównie jednak nazywają się Słowianie i Anty... — *principaliter tamen Sclavini et Antes nominantur.* Zaznaczył przytem Jornandes (ale bez przecinków w ustępie nader wątpliwym i zawiłym), że „Scytya graniczy z Germanią... tam gdzie się Istra (Dunaj) zaczyna .. albo... od błota Mysianum...“ itd.

Tu mamy nowy, całkowicie od swewskiego różny klucz rodowodowy: Słowianie to tyle, co Winidowie, Wenedy, Wenedzi... Kłopot stąd jednak niewielki. Niemcy od niepamiętnych czasów do dnia dzisiejszego nazywali i nazywają Słowian środkowej Europy — Wenedami; podbój i wynarodowienie tych Wenedów w ciągu kilku wieków — to właśnie podwalina dziejów i wielkości Niemiec tegoczesnych. Lecz oni sami, Niemcy ci, skądże się wzięli? — Przyszli oni ze Skandynawii. Na kilka wieków przed Chrystusem — powiada Bogusławski (I, 176, 177) — w środkowej Europie dwie główne narodowości byt swój rozwijały: Celtowie i Słowianie. Granicę zetknięcia dwu tych narodowości stanowiły: góra Mont-Blanc, jezioro Genewskie, łańcuchy gór Jura i Wogezów... Pomiędzy Celtami i Słowianami, nad dolnym Renem i na pobrzeżach morza Północnego gnieździły się plemiona teutońskie, powstające z napływu ludności skandynawskiej... Powoli, stopniowo, z biegiem lat i stuleci, przybysze ci, „hordy“ te skandynawsko-teutońskie, „ilekroć ich głód, nędza, wylew morza lub inna niedola dociskała,“ puszczały się na wędrówki grabieżcze po krajach sąsiednich, wypierając Celtów na zachód i południe, Słowian — na wschód i południe—aż dopóki nie wpędziły jednych na iberyjskie, bretońskie i irlandzkie skały pobrzeża atlantyckiego, a drugich na bagna kujawskie i piachy mazowieckie.

Zaprawdę, smutna to i opłakana historya, co po to jedynie na swych kartach powołuje do życia całe plemiona, rody i narody, swewskie i wenedyjskie, ażeby następnie módz pokazać, jak ich przez długie wieki bito, mordowano, bezczeszczono, ścigano, trzymano w jarzmie niewoli i upodlenia — i jak ich przez cały ten czas katuszy fizycznych i moralnych łżono jeszcze w dodatku słowami św. Bonifacego, który zakładając w r. 740 klasztor w Fuldzie i siedząc na jego ziemiach Słowian, pisał o nich: „jest to najwstrętniejszy i najbrudniejszy lud na świecie...“ *Wenedi, quod est foedissimum et deterrimum gens hominum...*“ (IV, 179)...

Hodi.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Jan August Kisielewski: *W sieci* — wesoły dramat.

Zdaje mi się, że każdy talent twórczy, rozpoczynający swoją działalność, musi stanąć oszołomiony i ogłuszony tym chaosem życia, które się przed nim roztacza. „Życia ogromne morze grzmi przede mną.“ Świadomie, czy nieświadomie, musi on odczuwać i przeczuwać swoje przeznaczenie i posłannictwo oddziaływania na pewne zjawiska tego życia w równej mierze, jak one oddziaływają na niego. Myślę, że — jak we wszystkich przejawach życia organicznego, tak i tutaj — zachodzi pewien rodzaj *doboru naturalnego*, że i tutaj królnje prawo ostawania się istot piękniejszych i lepiej przystosowanych w walce o byt wobec mniej przystosowanych i brzydszych. Pewne postacie życia umysłowego w danym okresie, pewne uwarstwowienia myśli, pewne formacye psychiczne — jak również pewien odrębny charakter sztuki i twórców tego okresu — nie mogły powstać każde zosobna, samodzielnie, ale musiały oddziaływać na siebie wzajemnie tak, że rozwój jednych można sobie wyobrazić tylko w związku z rozwojem drugich. Pomyślmy tylko, że zapładnianie i rozwój niektórych kwiatów spełniać się może tylko za pośrednictwem motyli. Im piękniej wybujał kwiat przepychem korony i świetnością barw, im większą słodycz soków w sobie zawiera — tem bardziej nęci ku sobie motyle i tem bardziej przystosowany jest do walki o byt i o przetrwanie gatunku. I odwrotnie: im lepiej przystosowany będzie motyl w budowie organizmu do kształtu i budowy kwiatów *tej samej okolicy*, tem więcej będzie posiadał warunków do życia. Kwiaty i owady, artyści i środowisko przystosowują się wzajemnie i oddziaływają na siebie ciągle, choć nieświadomie. Środowiska, gdzie sztuka wskutek tych lub innych warunków nie mogła rozwinąć się bujnie, są, jak te kwiaty blade i nikłe, zapłodnione przez wiatr, a nie przez motyle.

Powiedziałem to wszystko dlatego, że w dramacie Kisielewskiego, „W sieci,“ postać „szalonej Julki,“ stanowiąca życie i krew utworu, wydaje mi się właśnie takim kwiatem purpurowym, który przynęcił ku sobie talent autora. Talent to bardzo świeży, dotychczas, jak się zdaje, nieświadomy własnych sił i zasobów, raczej popychany przez te siły, aniżeli niemi kierujący, pomimo całej różnicy środków i formy — bardzo blizko spokrewniony z Reymontem. Jest on nakształt pierwotnego organizmu jednokomórkowego, który wchłania w siebie świat otaczający *in crudo* i nie przetrawia go w sobie należycie. A jednak posiada on w sobie instynkt, który nim kieruje w tę lub inną stronę, który go doprowadza do kwiatów pyszniej wybujałych i który w całym nawale surowego materyału, w całym chaosie życia i ruchu „tych głośno krzyczących cieni, które słowami skaczą sobie przez ramiona myśli,“ jak sam określa „swoich ludzi“ pozwala nam podziwiać takie Julki z „W sieci,“ albo Zośki z „Karykatur.“ I oto mamy zjawisko doboru naturalnego w dziedzinie sztuki — i oto mamy tajemnice przetrwania tych Julek i Zosiek Kisielewskiego, tych Janek i Lili Reymonta w walce o pamięć i zapomnienie. Po za tem dla jednego i drugiego życie jest „ogromnem grzmiącem morzem,“ jest żywiołem, który ich może olśniewać i pociągać, ale nigdy przenikać i wzruszać; po za tem człowiek pojedynczy jest dla nich w tym całokształcie życia zjawiskiem tak ciekawem i pociągającem, jak kwiat lub obłok, które można badać i analizować, ale nie chwalić lub ganić, które może wzbudzić podziw, ale nie łzy, dlatego, że chwalić lub ganić człowieka, a nawet współczuć mu jest to samo, co płakać nad złamanem drzewem, chwalić śnieg za biały kolor, albo polemizować z wyciem wiatru. I tem się zbliżają do siebie te dwa talenty.

Jest jednak pewien rys w Kisielewskim, który go bardzo odróżnia od Reymonta i który najsilniej występuje w jego dramacie. Wyobraźmy sobie umysł twórczy jako zwierciadło odbijające w sobie świat: otóż zwykłe zwierciadło odbije zjawisko w stanie tej nieruchomości, w której zostało pochwycone. Tymczasem talent Kisielewskiego ma w sobie przedziwną zdolność chwytania przejawów duszy nie w stężałości danej chwili, ale w całej migotliwości ich formowania się, w całej ruchomości ich *stawania się*. Zauważmy ten rys, gdyż z niego dadzą się wyprowadzić i inne właściwości talentu. Przedewszystkiem dramatyczność: zupełnie nie w znaczeniu techniki dramatopisarskiej, tak zwanej „znajomości sceny,“ żywości akcyi i innych sztuczek natury czysto zewnętrznej, protegowanych przez najrozmaitszych przysięgłych rzemieślników sceny, ale ta potencyalna energia życia, przesycająca każde uzewnętrznienie się duszy ludzkiej — dramatyczność, która nie ma nic wspólnego z dramatyczną formą utworu i która zachowałaby niewątpliwie swoje natężenie, gdyby autor wypowiedział się w formie poematu, noweli, czy też powieści. Pomyślmy teraz, że w tem ciągłem „urabianiu się,“ „stawaniu się“ duszy ludzkiej—epilogiem dla autora zostaje zawsze złamanie i upadek: i tutaj występuje po raz pierwszy może i jedyny, jako silny i bolesny, chociaż nieświadomy, odruch jego organizacyi duchowej: jego *ironia*. Ogarnia ona cały utwór, począwszy od tytułu „wesołego dramatu,“ całe otoczenie Julki, wszystkich kapłanów nowej sztuki, którzy na wszystko „zasadniczo plują,“ i tych, którzy „już pluć przestali,“ i całą śmietankę familijnej „filistery-filoksery“ (*vide*: panna Micia), a nawet samą „szaloną Julkę,“ dławiącą się „w sieci“ szarego życia, boleśnie szamocącą i buntującą się przeciwko otoczeniu, cierpiącą nienasycony i niezaspokojony głód wrażeń, później ukazującą się jako pani sędzina, a jeszcze później w przebraniu Siebla słaniającą się na maskaradzie w Orfeum w objęciach dawnego „ideału.“ I jeżeli każda ironia ludzka jest kanwą, przez którą ból przetyka swoje nitki wysrebrzone, to w tkaninie twórczości Kisielewskiego tych srebrnych nitek jest tak wiele, że z daleka przypominają siwiznę, a „młody i obiecujący talent“ silnie o starość potrąca.

„Coście wy zrobili z moją duszą?“ — zapytuje rodzona siostra Julki, bohaterka „Fermentów.“ Co życie robi z tym szeregiem ptaków, niemogących zaczerpnąć tchu w stęchłej atmosferze kojca domowego, rwących się do powietrza i słońca i opadających z pokrwawionemi skrzydłami? Dlaczego potrafi zemleć na proch te bogate dusze i rzucić je na jeden śmietnik w nazbyt może dostojnem towarzystwie „siłaczek,“ „żniwiarek“? I tutaj chciałoby powiększać bez końca z pamięci te długie szeregi Julek, Janek... Chciałoby się także przypomnieć te krwią pisane tutaj artykuły, paralelizm życiowego „komedyanctwa“ i „prawdy,“ zestawienia dusz, rwących się do „czary życia,“ ze smutnym legionem kobiet-atomów...

Tak wygląda *wesoły* dramat. Możnaby opowiedzieć scena po scenie treść jednego aktu po drugim, możnaby zgromić protekcyjnie autora za gadulstwo i wiele zbytecznego balastu, możnaby zarzucić coś niezdecydowanej formie utworu, wahającej się pomiędzy powieścią a dramatem, przeładowanej nadmiarem „wewnętrznych dyalogów myśli,“ które rozpoczynają się tam, gdzie się kończą „dyalogi słów,“ możnaby zastanowić się jeszcze, czy autor chce być tylko „bardem współczesnej młodzieży krakowskiej,“ czy też wybiera się w drogę z juwenalowskim bacikiem — ale byłoby to wszystko bezcelowe. Tam, gdzie się toczy naturalna walka o byt kwiatów i motyla — jakże śmiesznym byłby człowiek, występujący z „radą życzliwą“! Jest w Kisielewskim ślepy pęd pracownika z tłumu, którego krokami nie kieruje wola. Dzisiaj bierze on życie, jako scenę, a „od strony widzów wyjmuje ścianę,“ ażeby im było łatwiej przypatrywać się wszystkiemu, co się tam dzieje. Później

nastąpi pewien odpływ siły twórczej, ludzie poczną być dla niego tylko symbolem algebraicznym, pewnym widomym znakiem rozbrzmiewającej *sonaty* życia. Ale to chyba nie na długo.

A potem zapewne pójdzie dalej.

Władysław Sterling.

MALARSTWO.

Monachijczycy polscy. — Aloizy Schram.

W dziejach malarstwa naszego Monachium odegrało ważną rolę. Dla historyka sztuki polskiej ciekawem byłoby zbadać, jaki wpływ miały Ateny niemieckie na artystów naszych i pośrednio — na rozwój samej sztuki. Był czas, kiedy miasto to było dla nich jedynem prawdziwem źródłem wiedzy artystycznej. Studya, rozpoczęte w Warszawie w szkole rysunkowej prof. Gersona, która dać mogła ledwie słabe wiadomości początkowe, lub w szkole krakowskiej pod kierunkiem Matejki, którego potężna indywidualność zabójczy wpływ wywierała na organizacye słabsze, młodzież artystyczna biegła kończyć w Monachium. Parafrazując znane zdanie, możnaby powiedzieć, że po za Monachium nie było dla niej zbawienia. Wpływ ten sięga czasów bardziej odległych, w których przypadają narodziny współczesnego malarstwa polskiego. Prawie jednocześnie, bo w r. 1858 i w początku 1859 bawili tam na krótkotrwałych wprawdzie studyach Grottger i Matejko. Pierwszy z nich poddał się nawet przez chwilę urokowi romantycznego Schwinda, drugi — pracował przez pewien czas u Anschütza, artysty zbyt bezbarwnego widocznie, bo dawno zginął w mgle zapomnienia, aby mógł chociażby trochę zaciężyć swoim talentem na genialnej osobowości Matejki. Za tymi dwoma dążył do Monachium zwarty szereg innych: był tam po roku 1860 Henryk Siemiradzki, pracował tam w roku 1862 pod kierunkiem Franciszka Adama Józef Brandt, u Strohubera, Wagnera, Piloty'ego studyował nieodżałowany Maks Gierymski, uczył się tam Szymon Buchbinder, Aleksander Gierymski, Stanisław Witkiewicz, Stanisław Wolski i wielu in. Nawet wtedy, gdy światło nowej sztuki, bijące z Paryża, zaćmiło przez chwilę wszelkie inne, Monachium nie straciło uroku dla malarzy naszych. Stało się ono dla nich jednym z etapów wędrówki artystycznej, której szczytem i zakończeniem był Paryż. Przez Monachium w drodze do stolicy nadsekwańskiej przeszedł Józef Chełmoński, Hirszenberg, Jan Rosen, Pilichowski. Niektórych zatrzymało ono w swych murach na stałe, jak np. Brandta, Alfreda Wierusz-Kowalskiego, Władysława Czachórskiego, Buchbindera. A nawet i dziś, kiedy od czasów Podkowińskiego i Pankiewicza, młodzi artyści nasi najchętniej dążą wprost do Paryża, niemała zebrać się musiała nad Izarą kolonia artystyczna polska, skoro nam stamtąd całą kolekcyę prac swoich przysyła.

Na prace te patrzeć należy, jak na dzieła artystów młodych, prawie początkujących, przeto skala wymagań naszych nie może być zbyt wygórowana, bo nie o samą już wartość dzieł tu chodzi, lecz o te wnioski na przyszłość, które z nich wyprowadzić można. A ogólny wniosek, który z wrażenia również ogólnego zdaje się wynikać, jest ten, że z całej grupy młodych „monachijczyków polskich" można wskazać tymczasem nie więcej, niż dwu lub trzech, rokujących pewne lepsze nadzieje. Reszta — to albo uczniowie jeszcze, których prace mogą zaledwie dowieść pewnego zasobu wiadomości technicznych, pewnych niewielkich lub jeszcze uśpionych zdolności, albo też ludzie, którzy nigdy nie wyrosną po nad miarę Cichockich, a co najwyżej Owidzkich. Nad pracami więc tylko tych dwu lub trzech zastanowimy się bliżej. Są to: Jan Wysocki, Feliks Wygrzywalski... A ten trzeci? Tego trzeciego wyłowić trudno. Nie jest nim Leopold Piotr Andrzejewski twórca grubo, grudkami impastowanego i bardzo słodkiego „Zmierzchu" i „Końca dnia," ani Emilian Jasiński, któremu się zaledwie trochę udały rysunki gwaszem „Kopanie kartofli" i „Żniwo," ani Jan Klępiński, rozmiłowany w czarnej jak szuwaks farbie i w nieokreślonym wielce rysunku, ani Stanisław Korzeniowski, który w „Grze fal" pokazał, jak to brzydko bywa porywać się z motyką na słońce, tj. Boecklina, w obrazie zaś „Z jarmarku" — jak to można nieźle skleić coś z różnych kawałków Brandta i Kozakiewicza, a jednocześnie — jak własnemi oczyma dość umiejętnie umie podpatrzeć życie „Na ulicy," ani Soter Jaxa Małachowski, który w „Burzy morskiej" zamiast rozszalałych żywiołów widzi Achenbacha i dopiero w „Brzegu morskim" ma jakiś niejasny przedsmak fal i wody — ani Stanisław Radziejowski, którego płótna obecne nie są bynajmniej krokiem naprzód w porównaniu z dawniej już przezeń wystawianemi pracami, ani... I byłby może tym „trzecim" Konrad Krzyżanowski, autor dość żywego i nieźle narysowanego „Portretu własnego," gdyby nie to, że ten portret ogromnie przypomina niezbyt odległą chwilę, kiedy to każdy początkujący Monachijczyk poczuwał się do obowiązku zrobienia w lustrze swego własnego portretu z „wściekłym" wyrazem twarzy, okropnie silnym wzrokiem, z głową *en trois quarts*, z korpusem *en profil*, w oświetleniu a la Rembrandt. Ta sztuczna poza, umyślna jakaś ostrość kształtu i fałsz kolorytu — to wady „Portretu" Krzyżanowskiego, które budzą wspomniane reminiscencye.

Lecz wróćmy do naszych dwóch. Obydwaj nie są bynajmniej artystami skończonymi, zupełnie oryginalnymi. Wpływ szkoły i otoczenia jeszcze silnie na nich działa. Lecz niektóre szczegóły ich płócien zdradzają talent, po którym można się spodziewać owoców. Taki np. Chrystus Wysockiego, który ze skał objawia się niebiosom i wodom („Objawienie") jest dziełem niewątpliwie ciekawem. Prawda, że skały te budzą jakieś niejasne wspomnienia, (może Pigłheinowskie?), prawda, że niebo i morze są nieco za słodkawe w tonie i nie wierne w kolorze, lecz całość ma jakiś cichy, poetyczny nastrój, jakąś harmonię. „Judyta" tegoż artysty jest rzeczą znacznie słabszą: kompozycya banalna (ile to już widzieliśmy tych „malowanych" głów Holofernesa na podłodze, półmiskach i stołach!), światło na trójnogu — wielki kleks czerwonej farby, karnacya bohaterki — coś średniego między ścierką a ulicą w małem miasteczku — i tylko rysunek postaci jest rzeczywiście doskonały. W „Madonnie" zdobył się Wysocki jedynie na niezły pejzaż w głębi, w „Ave Maria" — na nic, a w portretach — na starą monachijską modłę wedle recepty: „maximum asfaltu — minimum cremserweisu."

Wygrzywalskiego „Praczki rzymskie," jakkolwiek za blade w kolorze, mają w sobie dużo życia, którego brak jego „Asfalciarzom." Widocznie z pełnem słońcem artysta rady sobie dać nie może, natomiast zachodzące odczuwa lepiej. Jego „Zachód słońca" ma dobrą tarczę słoneczną i prawdziwą barwą aureolę płomienną, którą gwiazda dzienna, odchodząc, kładzie na garbach gór. Całe to płótno widocznie malowane było dlatego tylko efektu, bo reszta w nim mocno przeniebieszczona razi oczy fałszem kolorystycznym. „Strażnik nocny" tegoż artysty — to flość sumienne studyum światła sztucznego, pewnego rodzaju „zadanie na temat" bardzo przeciętnie rozwiązane.

Aloizy Schram przedstawił się nam po raz pierwszy w roku zeszłym — i to bardzo niefortunnie. Z jego „Sądu Parysa" wiało stęchlizną i niedołęztwem. Zbiorową wystawą dzieł swoich, urządzoną obecnie w Salonie Krywulta, opinię sobie niewątpliwie poprawił. Te nowe prace jego, jakkolwiek nie pociągną za sobą znawców na wysokość, na której króluje zachwyt, jednakże dowodzą dużych zdolności i znacznego zasobu wiedzy malarskiej ich twórcy. Schram potrafi odczuć pejzaż; jego motywy pejzażowe ze Wschodu pełne są powietrza i słońca. Ulubionym jego materyałem jest *tempera*, znany w wiekach średnich poprzednik farb olejnych, którym, jako do użycia łatwiejszym, bo nieschnącym pod pędzlem, musiał ustąpić miejsca. U nas dotąd próbował malować *temperą*, zdaje się, jeden tylko Rapacki. Wielka przezroczystość i lekkość tego materyału czyni go ogromnie odpowiednim szczególnie do krajobrazu, do powietrza, do lekkich powietrznych świateł i cieni. Niezły, nawet poetyczny w pejzażu, staje się Schram banalnym i ckliwym tam, gdzie chodzi o twarz, o wyraz. Wszystkie jego studya, wszystkie większe płótna (w rodzaju „Zemsty nimf" lub „Adoracyi") są to rzeczy czysto dekoracyjne, którym za całą wartość starczy technika rzemieślnicza malarza. Jedyny wyjątek stanowi tu „Wyspa Syrenia" i to dzięki temu tylko, że główną rolę gra w niej słodki, rzeczywiście czarem nęcący pejzaż, dla którego wabiące, drobne figurki nimf są tylko „sztafażem." Do lepszych rzeczy Schrama zaliczyćby jeszcze trzeba pastel „Noc księżycowa," pełny rozmarzającego nastroju, niewyraźnych cieniów i srebrnych świateł miesięcznej nocy...

Michał Mutermilch.

POEZYE

MUZA.

Gdziekolwiek siędzie muza moja płocha,
Zawsze na grobach wspomnień naszych siędzie
I dla tej tylko śpiewać zawsze będzie,
Co się w snach złotych, w zamyśleniach kocha.

W jesienny wieczór, co po oknach szlocha
I huczy w smutnym topolowym rzędzie,
Może ją wspomnień złota nić oprzędzie,
Może przypomni i zatęskni trocha.

Może, gdy księgę strof moich otworzy
I złotowłosą głowę nad nią skłoni,
Posępne widmo karty jej przesłoni

I załamane ręce przed nią złoży.
I może zblednie ona od rozpaczy
Słów moich i mej pamięci przebaczy.

Kazimierz Gronkiewicz.

SPRAWY EKONOMICZNE

Nowe prądy w organizacyi przedsiębiorczej.

Pod tym tytułem p. St. A. Kempner ogłosił świeżo pracę poświęconą sprawie syndykatów przemysłowych*). Zasługą autora jest przedewszystkiem przytoczenie wiązanki faktów z hi-

*) Nakładem *Gazety handlowej*. Warszawa, 1903. Cena kop. 75.

storyi tych związków przedsiębiorczych. Pan Kempner sam sobie zaświadcza, że przytoczył „materyał dość bogaty, choć wcale nie wyczerpujący“ i na tym materyale chce „oprzeć próbę uogólnień i wniosków.“ Otóż nam się zdaje, że dotąd nietylko materyał podany w broszurze, ale nawet materyał stokroć większy, nagromadzony w literaturze ekonomicznej wogóle, jest tak skąpy, że na nim można opierać wnioski bardzo a bardzo chwiejne, a z uogólnieniami należy być nader ostrożnym. Liefmann, któremu zawdzięczamy obfity materyał zebrany z pierwszej ręki—zużytkowany poniekąd przez p. Kempnera — gorzko żali się na wielką trudność otrzymania rzeczywiście wiarogodnych wiadomości o praktykach kartelí niemieckich. Tegoż zdania jest Kulemann, który w źródłowej swej pracy „Die Gewerkschaftsbewegung“ cytuje pisany do niego list Brentana: „Materyał o organizacyach przedsiębiorców jest daleko mniej dostępnym, niż materyał o organizacyach robotników. Przedsiębiorcy dziś tworzą prawdziwie tajne stowarzyszenia.“ To też gdy niemieckie stowarzyszenie ekonomistów w roku 1893 udało się z ankietą do przedstawicieli syndykatów, otrzymało przeważnie odpowiedzi wymijające, lub nie otrzymało żadnych. O tem więc co się dzieje w stowarzyszeniach przedsiębiorców, publiczność dowiaduje się tylko tyle, ile ci panowie łaskawie zakomunikować raczą prasie, lub tyle, ile zręczni dziennikarze dowiedzą się ukradkiem. W Niemczech, gdzie syndykaty są oparte na zupełnie legalnych zasadach, jeden z organów bacznie śledzących ruch syndykalny, *Frankfurter Zeitung*, użala się stale na niedostateczność wiadomości w prasie. Niedosyć bowiem jest wiedzieć, na jakich prawnych zasadach zawiązano stowarzyszenie, lecz dla oceny znaczenia takiej organizacyi ekonomicznej, trzeba dokładnie znać faktyczną jej czynność. I oto pod tym względem materyał podany przez pana Kempnera jest nader ubogi. Nie znajdujemy wzmianki nawet o bezczelnym teroryzmie, którego dopuszczają się syndykaty, kiedy chodzi o zmuszenie do udziału przedsiębiorców, pozostających po za związkiem. Przykładów zaś tego teroryzmu w ostatnich czasach prasa, zwłaszcza niemiecka, podała mnóstwo. Nie znajdujemy dalej przykładów wyzyskania warunków, przyjaznych dla syndykatu wobec ceł ochronnych, a tymczasem w Niemczech, gdzie, jak zaznacza pan Kempner, nastręcza się doskonałe pole do postrzeżeń, stało się zjawiskiem niemal powszechnem, że te związki, które faktycznie zdołały opanować produkcyę i rynek, podnoszą ceny do tych granic, na jakie pozwala cło, chroniące od konkurencyi zagranicznej; jednocześnie zaś wyroby na rynkach zagranicznych są sprzedawane nawet niżej kosztów produkcyi, ponieważ zyski złupione na konsumentach krajowych pozwalają na pokrycie strat; cała zaś manipulacya odbywa się z celem, aby mieć możność rozszerzenia produkcyi, a tem samem obniżenia jej kosztów. Zjawisko zaś to o tyle jest ważnem, o ile wykazuje, że system ceł protekcyjnych wobec zmowy wytwórców jest doprowadzony do absurdu, gdyż służy już wtedy zupełnie jawnie nie do tego, aby „ochraniać przemysł krajowy,“ lecz do tego, aby bandzie przedsiębiorców umożliwić łupieztwo, popełniane na spożywcach. Nie znajdujemy również przykładów bezwzględnego wyzysku robotników przez skoalizowanych przedsiębiorców, którzy wprowadzili w Ameryce, Anglii, Francyi i Niemczech system tak zwanych „czarnych list,“ system proskrypcyi przeciw robotnikom, którzy w jakikolwiek sposób wzbudzili ku sobie niechęć przedsiębiorców. Każde sprawozdanie inspektorów fabrycznych, zwłaszcza niemieckich, podaje fakty tego rodzaju. P. Kempner nie wspomina wreszcie o tem, że dawniejszy pogląd optymistyczny, jakoby syndykaty w dobrze zrozumianym własnym interesie nie będą nadużywały swej potęgi i nie będą zbytnio podnosiły cen — okazał się bezpodstawnym. Pogląd taki znajdujemy jeszcze przed kilku laty nawet u autorów wrogo usposobionych względem interesów kapitalistycznych, jak Max Schippel i Bruno Schoenlank. Lecz w ostatnich czasach bezwzględne wyzyskiwanie położenia przez przedsiębiorców zrzeszonych było nazbyt jawnem, aby badacze tego zjawiska ekonomicznego nie zmienili poglądu, i w pracach Liefmana, Pohla i Schaeffiego wyraźnie zaznaczono ten zwrot. Od czasu ogłoszenia tych prac dążność do wyrachowanego zdzierstwa wystąpiła jeszcze wyraźniej, gdyż od lat pięciu Europa zachodnia i Ameryka przechodzą okres niebywałego rozwoju ekonomicznego, a jednocześnie syndykaty, owe *Kinder der Noth*, jak je nazwał przed laty Kleinwöchter, porosły w pierze i umiały nałożyć kontrybucyę odbiorcom. Wywołało to nawet krzyk oburzenia śród przemysłowców, zwłaszcza tych, którzy dla jakichkolwiek powodów nie mogą łączyć się w syndykaty. Niezmiernie charakterystyczną jest np. skarga, powtarzająca się w ostatnich sprawozdaniach niemieckich izb handlowych, że pomimo wielkiego ożywienia na rynku, znaczna liczba wytwórców nie może bynajmniej liczyć na zyski zwiększone, ponieważ dostawcy pół-fabrykatów (przedewszystkiem żelaza i węgla) podwyższyli ceny w stopniu bardzo znacznym, producenci zaś artykułów bezpośredniego użycia nie mogą połączyć się w syndykaty, w tej bowiem dziedzinie wytwórczości krzyżuje się zbyt wiele najróżnorodniejszych interesów. Zaznaczono też, że wobec takiego zwrotu ci wytwórcy artykułów bezpośredniego użycia, pod naciskiem wygórowanych cen materyałów surowych i półfabrykatów, uciekają się do „fuszerki,“ do wyrobu możliwie lichego towaru, gdyż, nie mogąc podnieść cen, w ten tylko sposób odbijają na spożywcach haracz, jaki sami płacą swoim dostawcom zsyndykowanym. I tu więc szkodę ponoszą ostatecznie spożywcy.

Otóż sądzimy, że tego rodzaju fakty, zaczerpnięte ze sfery stosunków czysto ekonomicznych, daleko skuteczniej przyczyniają się do wyjaśnienia tego zjawiska kapitalistycznego, aniżeli subtelne dystynkcye, któremi posługują się nowsi ekonomiści pod wpływem studyów prawniczych, do jakich zwrócili się gorliwie w ostatnich czasach, przyczem stali się bardzo lichymi prawnikami, a zaniedbali teoretyczne studya ekonomiczne. W pracach Liefmana, Pohla i Schaeffiego, które p. Kempner roztrząsa w specyalnym rozdziale swej broszury, sztuczna klasyfikacya zjawisk dotąd tak mało zbadanych, zdaje się mieć najmniejsze znaczenie naukowe i dlatego tę kwestyę klasyfikacyi pomijamy.

Ważnem natomiast jest, jakie znaczenie dla rozwoju społecznego można przyznać syndykatom na zasadzie spostrzeżeń dotychczasowych. P. Kempner przeczy, jakoby syndykaty „miały zaprowadzić tak daleko, jak to przewidują ci, którzy w dalszej kolei domyślają się urzeczywistnienia ideałów Marxa — przejścia od zbiorowej formy produkcyi prywatnej do zbiorowej formy produkcyi społecznej.“ Pozostawimy na stronie „ideały Marxa.“ Skoro zgodzimy się z autorem na to, iż „trusty i kartele wyobrażają jednakowe ukształtowanie, i że rozwój odbywa się w następujących fazach: „1) luźne zespolenie, 2) świadome porozumienie w pewnym określonym celu, 3) organizacya zśrodkowująca zarząd produkcyi i sprzedaży wyrobu, 4) fuzya akcyjna“ — to już wątpliwości ulegać nie może, że mamy tu do czynienia z wyraźnem zupełnie zjawiskiem zogniskowania produkcyi. Że przytem „nie dokonywa się zśrodkowanie kapitałowe w zakresie coraz większych zbiorowych ustrojów przedsiębiorczych,“ tego dopiero dowieść by należało. Autor zaznacza fakt, że „w syndykatach jednoczenie się kapitałów dotyczy połączonych przedsiębiorstw, stanowiących tem samem, wprawdzie coraz mniejszą ilość organizacyi, a więc mniejszą liczbę podmiotów gospodarczych, ale do nich należeć mogą i z zysków ich korzystają bardzo liczni uczestnicy.“ Jednakże w rzeczywistości widzimy, że tam, gdzie organizacya doszła do ostatniej fazy rozwoju, w „fuzyach akcyjnych“ odbywa się nader szybko skupienie akcyj w rękach akcyonaryuszów najzamożniejszych, czego najlepszym dowodem są te trusty amerykańskie, na których czele stoją Rockeffeler-i Carnegie. Zgadzamy się, że to zjawisko nie wypływa z samej natury syndykatów, lecz sądzimy, że staje się ono nieuniknionem wobec tego, iż operacye czysto handlowe syndykatów pozostają w związku z operacyami giełdowemi, jak to zaznacza sam autor; na giełdzie zaś tem szybciej odbywa się pożeranie karasi, im większe pojawiają się szczupaki, a syndykaty właśnie hodują szczupaki w rodzaju panów Rockeffeler, Carnegie i im podobnych.

Wspominamy tu nawiasem, że w zajmującym sporze pomiędzy Bernsteinem a jego przeciwnikami, o ile chodziło o syndykaty, punktem spornym nie była bynajmniej kwestya, o ile one wpływają na ześrodkowanie; temu bowiem Bernstein nie przeczył, lecz o rolę, jaką odgrywają syndykaty względem przesileń ekonomicznych. A o tej kwestyi i nam wypadnie jeszcze powiedzieć słów kilka.

Myli się autor, twierdząc, że ktokolwiek widzi w syndykatach zjawisko prowadzące do sławnego „przeczenia przeczeń,“ temu nie pozostaje nie innego, jak tylko założywszy ręce, „czekać tej wielkiej chwili.“ Nie, rzecz ma się zgoła inaczej: Jeżeli syndykaty są zjawiskiem, które wynika z nieodzowną koniecznością z ustosunkowania się sił w produkcyi, to nie zobowiązuje do zakładania rąk żadne stanowisko, prócz turecko-fatalistycznego, którego nie reprezentował dotąd nikt w nauce ekonomicznej, a najmniej już chyba mistrz dyalektyki, który posługiwał się logiczną kategoryą „przeczenie przeczenia.“ Kwestya tylko, czy „realno-etyczna szkoła ekonomistów“ (dziwna ta nazwa jest najbardziej nieudatnym owocem myśli śród wielu innych niefortunnych, jakie szkoła ta wydała), do której autor zalicza siebie — jest na właściwej drodze, poszukując środków, z których pomocą „syndykaty, jak wszystkie objawy naszego ustroju wolnej konkurencyi — obojętnego czynnika w sferze moralnej,“ mogą być „w drodze unormowania obowiązków pogodzone z innemi wymaganiami życia społecznego.“

Dla nas kwestya przedstawia się tak: Syndykaty w rękach przedstawicieli przemysłu wielkiego są potężnym orężem, który pozwala im na podniesienie własnych zysków przez nałożenie kontrybucyi i na spożywców i przez wyzysk robotników, o ile ci nie mogą skutecznie się opierać. Prócz tego syndykaty, o ile usuwają wolną konkurencyę, paraliżują najważniejszy skutek tego czynnika — stałe zniżanie cen wytworów przemysłu, a tem samem uprzystępnianie ich coraz to szerszym masom spożywców. Wobec tych stron ujemnych co możemy zaliczyć na korzyść syndykatów? Zwolennicy ich dotąd powoływali się tylko na to, że wobec anarchii w wytwarzaniu syndykaty są czynnikiem organizacyjnym, a przedewszystkiem przeciwdziałają największej klęsce, którą powoduje ta anarchia — kryzysom ekonomicznym.

P. Kempner, który bez wątpienia przychylne względem syndykatów zajął stanowisko, ten argument pomija zupełnem milczeniem. Słusznie, gdyż argument ten

okazuje się sofizmatem bałamutnym. Jedynym bodźcem do łączenia się w syndykaty jest korzyść przedsiębiorców: w pogoni za nią związki te, nawet wówczas, kiedy przezorni kierownicy ich przeczuwają zły koniec — muszą wyzyskiwać wszystkimi środkami położenie chwilowe, inaczej bowiem uczestnicy, widząc większe korzyści po za syndykatem, porzucą go natychmiast. Jeżeli więc mówi się o regulowaniu wytwórczości przez syndykaty, nie należy rozumieć pod tem, że mogą albo nawet chcą one zapobiedz możliwie największemu rozszerzeniu produkcyi w czasie rozkwitu przemysłowego. To rozszerzenie wywoduje nieuchronnie reakcyę: pracujące masy ludowe nie mogą rozszerzać swego spożycia w tym samym stopniu, następuje więc nadprodukcya względna, a z nią i zastój. Syndykaty przez swoją praktykę podnoszenia cen mogą uczynić tylo tylko, że stopa zysków wytwórców artykułów bezpośredniego zużycia i zyski kupców zmniejszą się, pobudzają więc do jeszcze większego rozszerzenia produkcyi, do powiększenia obrotu handlowego przez kupców, którzy zapomocą rozszerzenia swoich zakładów starają się utrzymać zyski na dawnym poziomie. W ten sposób syndykaty przyczyniają się do zaostrzenia kryzysu. Co najwyżej mogą one — i to w niektórych tylko gałęziach produkcyi — ochronić uczestników swoich od zbyt dotkliwych klęsk przesilenia; są niejako stowarzyszeniami asekuracyi przeciw stratom w ten sposób powstającym. Lecz uchronić społeczeństwa od kryzysów nie mogą one i żadnych też w tym zakresie usiłowań nie czynią. Przyznajemy wszakże chętnie, że ta kwestya wpływu syndykatów na przebieg kryzysu jest jeszcze sporną, gdyż możnaby tu posługiwać się tylko dowodzeniem dedukcyjnem, niesprawdzonem postępowaniem indukcyjnem. Syndykaty przejdą próbę ogniową dopiero wtedy, gdy po obecnem ożywieniu nastąpi przesilenie.

Lecz pomijając tę kwestyę zupełnie, ujemne strony dla gospodarstwa społecznego przeważają stanowczo. Jeżeli pod względem ogólnego poglądu różnimy się z autorem, zgadzamy się wszakże z nim co do wniosków ostatecznych, gdyż i my sądzimy, że zakazy, skierowane przeciw samemu istnieniu syndykatów, nie mogą być utrzymane, a raczej należy dozwolić przedsiębiorcom na tworzenie tego rodzaju stowarzyszeń, poddając je jednocześnie kontroli państwowej. Kieruje tu nami przeświadczenie, że zakazom policyjnym nigdy nie udaje się stłumić nowych prądów w sferze ekonomiczno - społecznej. Świeży przykład bezskuteczności takiej walki widzimy w Niemczech, gdzie pomimo zakazu handlu terminowego zbożem na giełdzie, handel ten istnieje nadal w najrozmaitszych formach, ponieważ faktycznie odpowiada on potrzebie istotnej. Jak wykazuje p. Kempner, nawet u nas istniały i istnieją syndykaty, pomimo wyraźnego zakazu prawnego. Tajne zaś spiski przemysłowców są niebezpieczniejsze bez wątpienia od stowarzyszeń jawnych. P. Kempner zaznacza, że prawodawca, przewidując istnienie syndykatów, musi szukać środków zapobiegających wyzyskowi spożywców, nadewszystko zaś robotników, z czem najzupełniej się zgadzamy. Dodać wszakże musimy, że na drodze wyłącznie prawodawczej nie osiągnie się zapewne celu. Środki, jakimi rozporządzają dziś przemysłowcy i handlarze, są tak subtelne, że dotąd umieli oni zawsze obejść każdy artykuł prawa, jeżeli to obiecywało korzyści. Z tego więc powodu należy przeciwdziałać wyzyskowi ze strony syndykatów pozostawieniem zagrożonym możliwej swobody w obronie, a przedewszystkiem należy przeciwdziałać środkami polityki ekonomicznej: gdzie istnieją cła ochronne, przedsiębiorcy zorganizowani zawsze będą mogli podnosić ceny do ostatnich granic, na jakie pozwalają te cła, chroniące od konkurencyi zagranicznej, a więc istnienie ceł ochronnych sprzyja istnieniu syndykatów; z chwilą, kiedy wolno przedsiębiorcom zawierać syndykaty, *spożywcy domagać się muszą zniesienia ceł ochronnych*, gdyż inaczej byliby wydani na łup monopolistów prywatnych.

W tych wszakże gałęziach produkcyi, gdzie warunki naturalne wytwarzają monopol przedsiębiorców skartelizowanych— i ten środek obrony nie wystarcza. Jeżeli np. tworzą się syndykaty właścicieli kopalń węgla w kraju, w którym istnieje, jak u nas, jedno tylko zagłębie kopalniane, i gdzie współzawodnictwo zagraniczne może być usunięte wskutek porozumienia się z wytwórcami zagranicznymi (nasi przedsiębiorcy złączyliby się natychmiast z kartelem szlązkim), to widzimy jeden tylko środek ochrony spożywców i zapobieżenia niebezpieczeństwu, jakie grozi całemu gospodarstwu społecznemu, mianowicie: *upaństwowienie tej gałęzi produkcyi*, albo przynajmniej zakupienie na rzecz państwa takiej ilości kopalń, aby miało ono możność regulowania cen przy sprzedaży ich produktu. W Niemczech np. kartel westfalsko-nadreński jest powstrzymywany na wodzy tylko tem, że państwo posiada w zagłębiu Saarbrucken znaczne kopalnie i może paraliżować nadmierną zwyżkę cen. Zresztą, o ile chodzi o warunki w naszym kraju, to nasuwają się tu jeszcze inne punkty widzenia przy roztrząsaniu kwestyi syndykatów, nad którymi zastanowić się warto, i spróbujemy to uczynić na innem miejscu.

Dr. J. B. Marchlewski.

O prawdę.

Szanowny Panie Redaktorze!

Najuprzejmiej upraszam Szan. Pana o łaskawe pomieszczenie w piśmie swem kilku poniższych słów wyjaśnienia niedojścia do skutku odczytów moich na rzecz Osad rolnych, a to celem uniknięcia zarzutu, że przez lenistwo, złą wolę, kaprys itp. nie spełniłem dobrowolnie przyjętego zobowiązania względem tyle poważnej i pożytecznej instytucyi.

W swoim czasie złożyłem Zarządowi Osad rękopis dwu odczytów; p. kurator okręgu naukowego zezwolił na ich wygłoszenie, cenzura również zaakceptowała ich tekst bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Ostatecznie wszakże Zarząd Osad zauważył, że odczyty moje są nie dość prawomyślne (treścią ich są naukowe zdobycze ewolucyi i descendencyi w stuleciu bieżącem) i zaproponował w nich takie zmiany, na które bez okaleczenia związku logicznego zgodzić się nie mogłem. Oto jedyna, rzeczywista przyczyna niewygłoszenia ich publicznie.

Proszę przyjąć zapewnienie szczerego szacunku i poważania.

Dr. Aleksander Fabian.

W DALI.

Piotrków. D. 11 z. m. odbyło się ogólne zgromadzenie członków miejscowego Towarzystwa dobroczynności, na którem odczytano sprawozdanie z działalności Towarzystwa za r. 1899. Przytaczamy kilka cyfr porównawczych, świadczących o rozwoju Towarzystwa w ciągu 13-letniego istnienia. W roku sprawozdawczym obrót roczny wynosił 43,194 rb., nie licząc 13,054 rb., zebranych i wydanych wyłącznie na budowę nowego domu (w r. 1886 obrót wynosił 5,204 rb.), obecny majątek Towarzystwa wynosi rb. 96,161 (w r. 1886 rb: 3,101). Pod zarządem i opieką Towarzystwa znajduje się obecnie 16 wydziałów, pracujących w różnych kierunkach miłosierdzia publicznego (ochrony, szwalnia, zakład „rodziny Adeli," tania kuchnia, dom pracy itd.).

Suwałki. Wydział karny suwalski sądu okręgowego na kadencyi w Marjampolu d. 7 z. m. roztrząsał sprawę b. referenta komisyi poborowej pow. Wołkowyskiego, Konstantego Hermana, oskarżonego z art. 362 kod. karnego. Na korzyść oskarżonego zeznawał tylko naczelnik pow. Wołkowyskiego, p. Link, wszyscy inni świadkowie złożyli zeznania nieprzychylne. Sąd uznał Hermana winnym i skazał go na półtora roku rot aresztanckich z pozbawieniem niektórych praw, a następnie na oddanie go pod dozór policyi na cztery lata. — Rozpoczęta będzie wkrótce budowa koszar dla oficerów 19 i 20 pułków piechoty strzelców. Potrzebny na budowę plac zajęto w drodze wywłaszczenia przymusowego.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Biura powiatowe gub. Lubelskiej, jak donosi *Warsz. Dniew.*, otrzymały rozporządzenie władzy gubernialnej co do wezwania na d. 6 b. m. do Lublina po jednym pisarzu gminnym z każdego powiatu, celem opracowania jednakowej formy blankietów, książek i wykazów, używanych w kancelaryach gminnych. Uproszczenie i ułatwienie czynności kancelaryjnej w gminach jest od dawna sprawą palącą, dotąd bowiem kancelarye te muszą prowadzić od 80—100 różnych książek, kontrol list alfabetycznych itd.

— *Wiener Tagblatt* wykazuje, że w wielu wypadkach przyczyną wychodźtwa ludu galicyjskiego jest nieroztropne pod względem ekonomicznym postępowanie władz tamtejszych, tych zwłaszcza, które, złożone jeszcze dotąd z urzędników niemieckich, nie znają potrzeb kraju. Dyrekcya leśnictwa i dóbr państwowych we Lwowie drzewo surowe sprzedaje firmom pruskim w Bytomiu bez rozpisywania licytacyi i tanio, zamiast drogą licytacyjną umożliwić konkurencyę tartakom krajowym. Te stoją bezczynnie, a lud, pozbawiony roboty, szuka jej za granicą i za Oceanem.

Szkoły. Według orzeczenia ministeryum oświaty, przytoczonego przez pisma petersburskie, osoby, kształcące się w domu, które zdały egzamin z jakiejkolwiek bądź klasy gimnazyum, progimnazyum i szkoły realnej i otrzymały odpowiednie świadectwo, mogą nie później, niż w ciągu dwóch lat, stawać do egzaminu w zakresie kursu klasy następnej, a nawet i wyższej.

— *Warsz. Dniew.* w artykule wstępnym mówi o najnowszem rozporządzeniu ministeryalnem, uwalniającem zdolniejszych uczniów od egzaminów i zaznacza, że ulga ta różni się od projektu, który żądał zupełnego zniesienia egzaminów, jest więc dopiero półśrodkiem. Należy się spodziewać — dodaje to pismo — iż praktyka ulg świeżo przyznanych wykaże zupełną bezcelowość egzaminów i szkodliwość ich dla zdrowia uczniów.

— Na mocy postanowienia władzy naukowej, wychowańcom trzyklasowych szkół miejskich z 6-letnim kursem pozwolono wstępować w charakterze praktykantów do aptek, z warunkiem jednakże składania dodatkowego egzaminu z języka łacińskiego i algebry w zakresie programu czterech klas gimnazyalnych.

Z sądu. W Płocku rozpatrywano dnia 23 z. m. sprawę b. strażnika starszego z uczastku Bieżuńskiego, obecnie młodszego strażnika pow. Przasnyskiego, Sergiusza Żytnikowa, o szereg nadużyć służbowych w postaci łapówek i wynagrodzeń, pobieranych nieprawnie od różnych osób, lub też wykroczenia czysto służbowe. Sąd po zbadaniu sprawy i świadków skazał Żytnikowa na pozbawienie wszelkich szczególnych praw, przywilejów i orderów, na wydalenie ze służby wojskowej, oraz na rok poprawczych robót aresztanckich.

Dobroczynność publiczna. Przy Towarzystwie dobroczynności w Kaliszu powstała sekcya rozdawnictwa odzieży dla ludności najuboższej. Organizacyą i stałą działalnością zajęły się kobiety z inteligencyi miejscowej.

— Synowie i córki zmarłego w r. z. kupca i obywatela warszawskiego, Markusa Krollego, w celu uczczenia pamięci ojca, wznoszą przy ulicy Gęsiej, w pobliżu Smoczej, dom dwupiętrowy z przeznaczeniem na instytucyę dobroczynną dla Żydów. W suterenach mieścić się będą kąpiele natryskowe dla ludności najuboższej, jak: handlarzy, wyrobników, tragarzy i przekupek; trzy dni w tygodniu ką-

piele będą otwarte dla kobiet i trzy dla mężczyzn. Parter domu będzie zajęty na przytułek dla drobnej dziatwy, której rodzice, wychodząc na zarobek, nie mają dla nich opieki. Na pierwszem piętrze znajdować się będą dwie ochrony dla dzieci starszych, chłopców i dziewcząt oddzielnie; drugie piętro zajmie szkoła religijna dla dziatwy przychodzącej. W podwórzu instytucyi mieścić się będzie ogród z gimnastyką. Całkowite urządzenie domu fundatorowie biorą na siebie. (*Kur. Warsz.*).

Wynalazek. Ze Lwowa donoszą, iż dr. Zdzisław Stanecki, asystent przy katedrze elektrotechniki na politechnice lwowskiej, wynalazł nowe akumulatory, których zastosowanie, zdaniem fachowców, będzie bardzo doniosłe na polu elektrotechniki. Akumulatory systemu dr. Staneckiego zalecają się się szczególnie jako motory do poruszania tramwajów i samochodów.

Przemysł i handel. Zarząd Towarzystwa kredytowego miejskiego w Suwałkach wystąpił z prośbą do władzy ministeryalnej o prawo działalności w miastach prowincyonalnych. W razie uwzględnienia tych zabiegów będzie ono dawało pożyczki na domy murowane w Kalwaryi, Maryampolu, Wołkowyszkach i Władysławowie.

— *Birż. Wied.* donoszą, że Towarzystwo przemysłowo-handlowe rosyjsko-niemieckie w Berlinie czyni starania o utworzenie oddziałów w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Odesie i innych miastach. Ma ono na względzie handel wymienny. należy jednak do rzędu raczej naukowych, niż zakładów komisowych.

— Władze zatwierdziły ustawę kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w Stopnicy (gub. Kielecka).

Odpowiedzi Redakcyi.

Pracownikowi. Nie zamieścimy.

Cel. Nor. Może i jest w tem źdźbło talentu. Nie trzeba wszakże spieszyć się z drukowaniem wszystkiego, co z pod pióra się wymknie. Dość jest czasu.

Panu M. Z. w M. Charakterystykę tego pisarza znajdzie Pan we wstępie do „Systemu socyologii" Gumplowicza.

Zainteresowanemu. Politechniki z językiem wykładowym niemieckim znajdują się w Niemczech: w Darmstacie, Stuttgarcie, Dreznie, Karlsruhe, Akwisgranie, Monachium i Charlottenburgu (pod Berlinem) — w Austryi: w Wiedniu, Pradze, Grazu i Bernie Morawskiem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Марта 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.